Myśl Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU

POLISH THOUGHT—FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 80 | 1 listopada, 1944 | Cena (Price) 1/-

TYM, KTÓRZY ODESZLI

NADSZEDŁ szósty już z kolei — od chwili wybuchu wojny obecnej — Dzień Zaduszny. Pod wielu względami podobny bardzo do pięciu poprzednich, spędzanych przez uchodźctwo polskie poza granicami Kraju, różni się od nich przede wszystkim tym, że dzieli go zaledwie jeden miesiąc od bardzo pamiętnego dla każdego Polska dnie kapitulacji Warszawy.

Dzień Zaduszny zwykło się poświęcać myślom o zmarłych, słusznym więc wydaje się, by dzień ten w roku 1944-tym wyróżnić ześrodkowaniem wszystkich myśli i wszystkich uczuć społeczeństwa polskiego dookoła jednej olbrzymiej bratniej mogiły, mogiły tych wszystkich, którzy w walce o Kraj życie swe oddali.

Niema i chyba nigdy być nie może żadnego spisu, któryby objął nazwiska wszystkich poległych. Los bardzo znacznej części tych, których zabraknie, będzie nieznany i może lata całe upłyną zanim ich bliscy pogodzą się z myślą o śmierci oczekiwanych i przestaną wyglądać powrotu lub jakiejkolwiek w ogóle wiadomości.

Gdyby, w myśl zwyczaju niektórych formacji wojskowych, dało się zarządzić w tegorocznym Dniu Zadusznym polski *Apel Poległych*, to w apelu tym wymienić by należało nieogarnioną zupełnie dziś liczbę wszystkich, których groby rozsypane zostały po tylu różnych obcych ziemiach, którzy zaginęli na morzach całego świata, a wreszcie tych najliczniejszych, którzy zginęli w Kraju w ciągu przeszło pięciu lat nieustannego, a bardzo krwawego zmagania się z nieprzyjacielem.

I tak to już jest, że śmierć żołnierska w jawnej walce, tak często dziś zwycięskiej dla oręża polskiego, ma w sobie — nawet w obliczu całej potworności wojny dzisiejszej — pierwiastek swoistego piękna, które przyćmiewa nieraz grozę samej śmierci. W Kraju było inaczej. Warunki, w których toczyła się walka podziemna, były znacznie cięższe niż na frontach jawnych, zaś śmierć, która przypadała jej uczestnikom w więzieniach, w obozach, czy też w izbach badań policji niemieckiej, miała w sobie tyle cech rzeczywistego męczeństwa, że nie możnaby jej porównać nawet ze śmiercią na polu bitwy. Jak pisał Mickiewicz przed stu laty:

> "*Wyzwanie przyśle mu szpieg nieznajomy,*
> *Walkę z nim stoczy sąd krzywoprzysiężny,*
> *A placem boju będzie dół kryjomy,*
> *A wyrok o nim wyda wróg potężny*".

Nie można by zarządzić imiennego apelu poległych w Kraju w walce Polski Podziemnej, bo gdyby nawet udało się zestawić listę ich nazwisk, to na odczytanie jej wypadło by niewątpliwie poświęcić znacznie więcej, aniżeli dwadzieścia cztery godziny Dnia Zadusznego. Byłaby to lista, obejmująca nazwisk miliony.

Można jednak wątpić, czy spis nazwisk byłby rzeczą istotną; ważniejszym chyba byłoby umieć zdać sobie sprawę z tego, z jakich ludzi składała się ta walcząca *Polska Podziemna*? Skąd czerpano materiał ludzki, który wypełnił krajowe kadry organizacyjne? Skąd ludzie ci brali siły i energię do wieloletniej walki z przeważającym pod każdym względem wrogiem, sami będąc w warunkach więcej niż ciężkich.

Szukając odpowiedzi na te pytania, nie możnaby nie natknąć się odrazu na zjawisko może najbardziej charakterystyczne dla sytuacji Kraju, a mianowicie na to, że walka z okupantem stała się, zupełnie samorodnie i bez żadnych zewnętrznych nakazów, treścią bytu całego świadomego społeczeństwa polskiego. Entuzjazm tego społeczeństwa, tak pamiętny z dni przedwrześniowych, przerodził się bardzo szybko w instynktowną potrzebę walki z okupantem. Pozatem równie okrutna jak i bezmyślna metoda niszczenia wszystkiego, co polskie, stosowana od pierwszej chw iilprzez Niemców, bardzo przyczyniła się do rozbudzenia chęci walki i w ogromnym stopniu ułatwiła kierowniczym czynnikom Polski Podziemnej objęcie siecią organizacyjną całego kraju. Jednolita postawa społeczeństwa polskiego umacniała organizację podziemną — po pierwsze — przez wytworzenie powszechnego nastroju wyjątkowego wprost natężenia ideowego i — po drugie — przez zbiorowe, solidarne maskowanie dokonywanych poczynań. W znacznej mierze właśnie temu zbiorowemu wysiłkowi zawdzięczać trzeba, iż kadry zarówno Administracji Zastępczej jak i Armji Krajowej mogły się utrzymać i rozwinąć w sposób naprawdę zdumiewający, mimo iż okupanci w ciągu kilku lat musieli zorientować się w polskim terenie i mieli przez to ułatwione zadanie, jeśli chodziło o niszczenie ośrodków polskiego oporu.

Ludzie podziemia nie wyszli z jakiejś wybranej warstwy czy elity społecznej, nie przechodzili żadnego specjalnego przeszkolenia ideowego; selekcji ich dokonywało samo życie konspiracyjne i praca. Ochotnicy pochodzili z najróżniejszych środowisk. Rezerwoar materiału ludzkiego był więc bardzo rozległy . Dobry to jednak musiał być materiał, jeżeli w walce podziemnej dał się zahartować do tego poziomu poświęcenia i bohaterstwa, jakie cechują całą pracę konspiracyjną w Polsce, a których najszczytniejszym wyrazem była walka o Warszawę, zakończona drugiego października r.b.

Może dziwni to byli ludzie, dziwni właśnie jako zespół. W pracy stykały się różne pokolenia, zupełnie różne — do niedawna niemal wrogie sobie — warstwy społeczne. W obliczu tych celów, ku którym się szło, następowało tak wiele zmian, dokonywało się tyle przewartościowań pojęć, iż trudno niewątpliwie byłoby charakteryzować czy oceniać pracowników Polski Podziemnej według kryteriów przedwojennych. W szeregach tego zespołu na plan bezsprzecznie pierwszy wysuwało

się założenie walki z wrogiem i poczucie spoistości narodowej. Na tle tamtej pracy w kraju zarysowały się może zręby swoistego neonacjonalizmu polskiego. A że w pracy tej wszyscy byli sobie bardzo bliscy i na hierarchię zwracało się mało uwagi, przeto można stwierdzić, że bardzo właściwe psychice polskiej zrozumienie idei demokracji, miało swój głęboki wyraz w ustroju Polski konspiracyjnej. Zarówno w organizacji cywilnej jak i w wojsku.

Nie było dnia — dosłownie — aby z szeregów ktoś nie ubył, niekiedy ubywali całymi grupami. Luki wypełniano nowymi ochotnikami i praca szła dalej. Tym, których zabrakło, poświęcano bardzo wiele myśli i bardzo wiele wysiłków, by udzielić im pomocy. Robiono to równie pokryjomu, jak ukrywana była cała działalność krajowa. Udzielenie pomocy uwięzionym było zresztą najczęściej zupełnie niemożliwe, niekiedy zaś mogło się wyrazić tylko w jednym — w przesłaniu dawki silnej trucizny.

Może kiedyś znajdzie się kronikarz, który potrafi potomnym przekazać gdzie i jak ginęli ludzie Polski Podziemnej. Będzie miał zadanie ogromne i bardzo niełatwe, bardzo różnorodne bowiem były warunki ich śmierci. Bywały wypadki, gdy aresztowani z dowodami ich działalności w ręku byli likwidowani natychmiast. Były to wypadki szczęśliwsze. Niekiedy śledztwa i badania trwały długie dni a nawet miesiące, po których następował wyrok śmierci. Olbrzymi wreszcie odsetek poległych w walce podziemnej przypada na tych, którzy zakończyli swe życie w obozach koncentracyjnych. Ich męczeństwo było może największe.

W dalszym stadium działań krajowych, gdy walka z całkowicie tajnej przekształciła się w półjawną, aby następnie zmienić się w otwarte działania bojowe, do zastępów poległych przybyły nowe ich szeregi, przede wszystkim w Polsce Wschodniej: na Wołyniu, na Podkarpaciu, na ulicach Wilna i Lwowa, w Lubelskim — a wreszcie w dwumiesięcznej przeszło bitwie powstańczej o Warszawę. I chyba nie ma w historii nowożytnej równie wstrząsającego przykładu tak ofiarnej i tak "totalnej" walki, jak ta, którą toczyli powstańcy w Warszawie.

Krajowym *ludziom podziemia* poświęcona zostaje przeważna część niniejszych rozważań — częściowo dlatego, że wspomnienie Warszawy jest tak świeże, częściowo zaś chyba dlatego, że jesteśmy dziś od nich tak daleko i dzielą nas takie zapory, iż nie ma w chwili obecnej niemal żadnej innej możliwości obcowania z nimi, jak ta właśnie, by być przy nich choć myślą i sercem.

*

Symbol grobu "nieznanego żołnierza", żołnierza poległego za Ojczyznę, nabiera w listopadzie 1944 roku szczególnego dla Polaków znaczenia. Wojna bowiem obecna chociaż pod tym względem nie zakwestionowała jeszcze praw polskich, iż wolno nam szukać myślą grobów naszych poległych niemal "jak świat długi i szeroki". Czyż potrzeba przytem dowodów, że wszystkie one są nam równie drogie i bliskie? Zarówno groby żołnierzy umundurowanych, jak i poległych w ubraniach cywilnych czy łachmanach więziennych; zarówno groby znaczące pola bitew, jak i snujące się na szlakach ludności porwanej z domów do różnych krajów więzienia i niewoli w Europie i Azji; jak wreszcie zagubione w przestworzach miejsca wiecznego spoczynku samotnych lotników lub pokryte falami morskimi naszych marynarzy. Suma tych grobów, ich synteza, staje się dziś polską "mogiłą nieznanego żołnierza", do której w myślach naszych odprawić należy pielgrzymkę w Miesiącu Umarłych, listopadzie 1944.

Pielgrzymka ta nie może się jednak ograniczyć do chwili skupienia i modlitwy. Musimy uświadomić sobie zobowiązania wobec Poległych, które spadają na żyjących, bo od tych ostatnich w olbrzymiej mierze zależeć będzie celowość tamtej ofiary. I nie chodzi nawet o to w tej chwili, czy należycie ofiarę oceniamy i doceniamy, chodzi raczej o to, byśmy w ogromie cierpień, których jesteśmy świadkami lub nawet osobiście doświadczamy, nie ugięli się i nie ulegli podsuwanej nam nieraz sugestii, że ponieśliśmy już klęskę, — zbędną i niepotrzebną klęskę.

Nie ma klęski — jest walka, którą podjęliśmy, gdyż była nieunikniona i która trwa. Walka potworna, wymagająca niezmiernych ofiar i poświęceń, lecz prowadzona przez nas w imię takich wartości, których miernikiem nie może być nawet zburzenie Warszawy, nawet śmierć setek tysięcy ludzi.

Musimy jednak pamiętać równocześnie, że klęska nie jest niemożliwa, że istotnie może na nas spaść, o ile jej nie uprzedzimy i nie przeciwstawimy jej, jeśli nas nawet dziś przejściowo nie stać na siłę militarną — siły moralnej, wyrażonej przede wszystkim w jasnej, godnej i jednolitej postawie naszego społeczeństwa.

Jest to najpierwsze, do spełnienia najkonieczniejsze, zadanie, które przed nami staje. Obowiązek nasz wobec Narodu i wobec Kraju. Dług, który mamy — my żywi — wobec tych, których pamięć w Dniu Zadusznym czcimy. Dług ten spłacić musimy, jeśli w obliczu dziejów naszych nie chcemy zdradzić i sprzeniewierzyć się pamięci rodaków, których groby w walce o Polskę zostały tak hojnie i tak szeroko rozesłane po lądach i morzach.

Świadomość tego długu wraz z istotną intencją spłacenia go i wyrównania, będą najlepszym i najsłuszniejszym chyba sposobem wyrażenia w Miesiącu Umarłych, listopadzie 1944, pamięci, czci i hołdu tym —

którzy odeszli.

POLEGLI NA POLU CHWAŁY

Ś.p. Jan Au, podpor. art., poległ w sierpniu 1944 na froncie we Włoszech, jako żołnierz II Korpusu. Urodzony w Poznańskim, średnią szkołę ukończył we Francji, w latach 1932 do 1939 studiował na Wydziale Architektury Politechniki Lwowskiej; szkołę podchorążych artylerii ukończył we Włodzimierzu Wołyńskim.

Był czynnym członkiem organizacji narodowych. W czasie studiów brał żywy udział w życiu akademickim, w szczególności Młodzieży Wszechpolskiej, Związku Studentów Architektury i w ruchu korporacyjnym. Jako członek korporacji "*Scythia*" piastował w r. 1936-37 godność prezesa Lwowskiego Koła Międzykorporacyjnego. Wedle jego projektu zbudowany został kościół katolicki w Mikłaszowie pod Lwowem, wzniesiony staraniem Lwowskiej Młodzieży Akademickiej.

Po kampanii wrześniowej 1939 r., w której brał udział jako podchorąży, dostał się na Węgry, skąd udał się do Polski. Aresztowany na granicy przez NKWD, skazany został na 5 lat ciężkich robót, w obozach pracy przymusowej, na dalekiej północy. W stanie już zupełnego wycieńczenia, spowodowanego głodem i, ponad ludzkie siły, pracą fizyczną, zwolniony został z *Obozu Pieczerskiego*, na kole podbiegunowym, w jesieni 1941 r. Po zwolnieniu, dążąc do Armii Polskiej, formującej się w ZSSR, odbył w poniewierce i o głodzie wędrówkę po Karakałpackiej Republice, nad Morzem Aralskim i w okolicach Buchary w Uzbekistanie. Drugi raz był tu bliski śmierci głodowej.

Do wojska polskiego wstąpił w lutym 1942 r. w Guzarze (obł. Bucharska) i w marcu tegoż roku, w czasie pierwszej ewakuacji wojska opuścił ZSSR, udając się na Bliski Wschód. Tam mianowany został podporucznikiem, i pełnił ostatnio funkcje adiutanta dowódcy jednego z pułków artylerii.

Ś.p. Jan Au, utalentowany malarz i architekt, posiadał cechy charakteru zjednujące mu ogólną sympatię i szacunek otoczenia. Może najbardziej znamienne dla jego charakteru było że zawsze był koleżeński i uczynny; tchnęła od niego bezgraniczna dobroć i to zarówno w czasach studenckich we Lwowie, jak i w ciężkich czasach, czy to w obozie na dalekiej mroźnej północy, czy poniewierce w pustynnej Azji Środkowej. Zawsze zachowywał pogodę ducha i podtrzymywał upadających, w wierze że zatryumfuje sprawiedliwość, która odmieni nie tylko losy indywidualne Polaków, lecz przedewszystkim całej Polski. Należał niewątpliwie do tych, u których ciężkie przeżycia w Rosji pogłębiły szlachetne cechy charakteru.

Ś.p. Kazimierz Partyka, podpor. piech. II Korpusu, poległ we Włoszech w sierpniu 1944 r. Pochodził z rodziny chłopskiej, ze wsi w woj. Tarnopolskim. Utraciwszy w dzieciństwie ojca, o własnych siłach ukończył gimnazjum w Tarnopolu. Na Uniwersytet Jana Kazimierza we Lwowie wstąpił w r. 1932.

W czasie studiów i później brał żywy udział w życiu politycznym i społecznym. Był

czynnym członkiem Stronnictwa Narodowego i Młodzieży Wszechpolskiej. Brał udział w pracach zarządu Bratniej Pomocy Studentów U.J.K., Akademickiego Koła Tarnopolan, Akademickiego Koła Towarzystwa Szkoły Ludowej i innych. Był prezesem korporacji "Zagończyk'. Od . 1937 pracował w redakcji "Słowa Narodowego" we Lwowie i był członkiem Związku Dziennikarzy Polskich. Służbę wojskową odbył w szkole podchorążych w Tarnopolu i kampanię 1939 r. odbył już w stopniu oficerskim.

W r. 1939 aresztowany przez władze sowieckie, więziony był w obozach pracy przymusowej w ZSSR. Po zwolnieniu z obozu w jesieni 1941 r. wstąpił do Armii Polskiej w ZSSR i wraz z nią ewakuowany został na Bliski Wschód. Jako dowódca kompanii w Dywizji Strzelców Karpackich wziął udział w kampanii włoskiej, w której poległ.

Ś.p. Kazimierz Partyka całą siłą swego charakteru, zahartowanego ciężkim borykaniem się z życiem od wczesnej młodości, — służył sprawie narodowej. Nigdy nie uchylił się od żadnego obowiązku, spełniał wszystko, co mu powierzono wzorowo, z właściwą mu pogodą ducha.

Ś.p. Ludwik Serafinowski, podpor. art. II Korpusu, poległ w kampanii włoskiej w sierpniu 1944 r. Pochodził z Wielkopolski. Studiował na Politechnice Lwowskiej, otrzymując dyplom inżyniera w r. 1937. Brał czynny udział w życiu politycznym, będąc członkiem Młodzieży Wszechpolskiej i Stronnictwa Narodowego. Jako student Politechniki należał do Związku Studentów Inżynierii i do korporacji "Orlęta"; był prezesem tej korporacii oraz Koła Korporacyj Chrześcijańskich we Lwowie.

Po studiach początkowo pracował w Polsce w kolejnictwie, a następnie wyjechał z grupą polskich inżynierów do Afganistanu, na budowę dróg w najbardziej może dzikich okolicach Azji. Tam zastała go wojna. Nie zawahał się ani na chwilę, zerwał z dużą stratą finansową korzystną umowę, opuścił Afganistan i jako szeregowiec zgłosił się do Armii Polskiej. Z Brygadą Karpacką odbył kampanię libijską i w roku 1943 mianowany został podporucznikiem.

Ś.p. Ludwik Serafinowski umiał zawsze podporządkować interes osobisty dobru publicznemu. Jakim był w Polsce przed wojną, takim pozostał do końca. Przez cały czas zagranicą żywo interesował się ruchem narodowym, którego był niezachwianym wyznawcą. Te walory zjednywały mu powszechne uznanie kolegów i przeciwników politycznych. Śmierć na polu walki ukoronowała pełne poświęcenia życie.

Ś.p. Wacław Pałach działacz Młodzieży Wszechpolskiej i Stronnictwa Narodowego z Krakowa, poległ w kampanii włoskiej. Od przyjaciół jego z Akademickiego Koła Sądeczan przy Uniwersytecie Jagiellońskim Redakcja otrzymała komunikat żałobny następującej treści:

"S.p. Stanisław Pałach ur. w r. 1913, w Starym Sączu, podpor. rez. W.P., Kawaler Virtuti Militari, student praw U.J., prezes Akademickiego Koła Sądeczan przy U.J., członek Młodzieży Wszechpolskiej, zginął na polu chwały we Włoszech, w 1944 r.

"S.p. poległy należał do tej młodzieży, której najwyższym celem doczesnym jest służba dla Narodu Polskiego. B. czynny i ofiarny na Uniwersytecie i na terenie Starego Sącza, nie szczędził swych sił i zdolności, aby idee, w które głęboko wierzył, wprowadzać w czyn mimo rozlicznych trudności. Jego konsekwencja i silna wola w działaniu niechaj będą wskazówką dla jego naśladowców."

Ś.p. Wacław Mieczysław Dębicki, podpor. Dywizji Pancernej poległ we wrześniu 1944 r. w Belgii. Po wrześniu 1939 przez Francję dostał się do Szkocji, gdzie przygotowywał się do orężnej rozprawy z wrogiem. Cały czas żywo interesował się sprawami publicznymi, pozostając do końca w łączności ze Stronnictwem Narodowym.

Ostatni jego list z 18 września b.r. do Redakcji "*Myśli Polskiej*" odzwierciadla szlachetną duszę ś.p. Wacława Dębickiego. Oto fragmenty listu:

"*Zasyłam wszystkim najserdeczniejsze życzenia i pozdrowienia z pierwszej linii frontu — po przebyciu drogi z Caen przez Falaise, okolice Chambois, okolice Rouen i z obecnego m.p. . . . Nie zdajecie sobie sprawy jak przyjemnie być wśród pierwszych, którzy wkraczają do uwolnionych miejscowości. Wprost rozkosz marzyć o takich chwilach w Polsce. Warto za taką chwilę zginąć*".

*

Wszyscy, wymienieni wyżej i niewymienieni narodowcy polegli na frontach europejskich, należeli do tego pokolenia, które w Polsce Niepodległej podjęło ciężką walkę o tryumf idei narodowej w życiu naszej Ojczyzny. W życiu cywilnym w szeregach Obozu Narodowego zdawali egzamin z obowiązków obywatelskich, w służbie wojskowej byli wzorowymi żołnierzami i dowódcami.

Nauczeni stawiać wartości publiczne nad dobro osobiste, zgodnie ze swymi zasadami oddali w potrzebie życie dla Polski.

Cześć Ich Pamięci!

Druh

ZYGMUNT BEREZOWSKI

PRZYSZŁOŚĆ POLSKI[1)]

NIE łatwo dziś mówić o przyszłości Polski zachowując niezbędną dozę optymizmu, bez którego niemasz twórczego czynu politycznego i niemasz polityki w głębszym znaczeniu tego słowa.

Bijąca w oczy rzeczywistość niejednemu odbiera wiarę, niejednego skłania do rozpaczy, łamie charaktery, gmatwa polityczne działanie utrudnia konsekwentne, świadome celu kierowanie narodem. Nawet nowe światła nadziei rozpalające się w związku z wielkimi zwycięstwami wojsk sprzymierzonych, zapowiadającymi nieuchronną klęskę Niemiec, nie rozpraszają mroku niedoli, jaki spowija nasz kraj, i nie ożywiają w stopniu dostatecznym wiary, ciężko doświadczanej pasmem ostatnich wydarzeń. A jednak chcąc działać, nie wystarczy patrzeć śmiało w oczy niebezpieczeństwu. Trzeba wierzyć. Trzeba czerpać wiarę z nieprzebranych sił moralnych narodu i budować ją na ścisłej ocenie rzeczywistości, widzianej jednak nietylko od zewnątrz, nietylko od strony bieżących wypadków, ale i od wewnątrz, od strony tkwiących w niej zawiązków nowych sytuacji, nowych faktów i nowych nieujawniających się jeszcze na zewnątrz sił rozwojowych. Tam, w tym ciemnym dla niejednego oka podścielisku, należy szukać usprawiedliwienia wiary, oraz punktu wyjścia polityki zmierzającej do wydobycia narodu z toni i osłonięcia go przed ciosami, jakie nań spadają.

Z tego punktu widzenia pragnąłbym ocenić nasze położenie i odpowiedzieć na dręczące nas wszystkich pytanie, jaką może być najbliższa przyszłość Polski.

*

Jest właściwością wielu Polaków, że myśląc o losach swojej Ojczyzny i o drogach polityki polskiej łatwo zapominają o tym, że wiążą się one organicznie z całością zagadnienia europejskiego i w większym stopniu niż to się dzieje z wielu innymi narodami wrastają głęboko w organizm europejski, w jego polityczną architektonikę. Wynika to zarówno z naszego położenia geograficznego jak i z cech charakteru, jakimi odznacza się naród polski, a które wbrew jego niezbyt dużej liczebności i mimo rzadko spotykanych przeciwieństw losu, uczyniły zeń naród wielki. Świat nie często wprawdzie uświadamia sobie, że "*Polska jest jego natchnieniem*", a mimo to jesteśmy jednym z bardzo ważnych elementów całości europejskiej, jej moralnej i politycznej wspólnoty.

Napoleon rozmyślając nad losami naszego Kontynentu i nad błędami swojej polityki, nazwał Polskę zwornikiem Europy, a rozwój wydarzeń dziejowych aż do dnia dzisiejszego pogląd ten w zupełności potwierdza. Polska dlatego wrasta tak głęboko w zagadnienia europejskie, że bez niej, bez jej niepodległości i siły, nie można w sposób trwały, zapewniający pokój zorganizować Europy Srodkowej — tego międzymorza, na którym znajduje się przeszło sto milionów ludności i gdzie się krzyżują żywotne polityczne i gospodarcze interesy świata. *Kto kontroluje Europę Środkową, panując nad tym obszarem i nad mieszkającymi tam narodami, ten panuje nad Europą, a kto panuje nad Europą ten — mimo upadku jej dotychczasowego znaczenia — ma wszelkie szanse panowania nad światem.* Rozumieją to doskonale Niemcy i niezgorzej Rosjanie, słabo niestety zdają sobie z tego sprawę mocarstwa zachodnie. Pierwsza wojna światowa była w dużym stopniu wojną o panowanie nad Europą Środkową. I druga wojna światowa zaczęła się od podboju zbrojnego, lub pokojowego, Europy Środkowej przez państwa Osi. Dopiero po osiągnięciu tego celu państwa te mogły myśleć o rozprawach z Rosją, Anglią i Ameryką, a co za tym idzie — o zapanowaniu nad światem.

Polityka niemiecka załamała się pod ciężarem zakreślonych sobie celów i pod ciosami sprzymierzonych armii. Europa, stawszy się polem wielkiej bitwy, zniszczona militarnie rozbita politycznie, chwilowo nie odgrywa większej roli w kształtowaniu losów świata. Ale stan ten jest przejściowy, a jej bezsilność w dużym stopniu pozorna. Kontynent nasz

---

1) Treść przemówienia na zebraniu publicznym zwołanym przez Stronnictwo Narodowe w dniu 27 września 1944, w Westminster Cathedral Hall w Londynie.

kolebka cywilizacji białego człowieka, część świata zamieszkała, nie licząc Wielkiej Brytanii i Rosji, przez 360 mil. ludności, partycypująca w jednej czwartej produkcji i wymiany światowej, nie może pozostać biernym, posłusznym narzędziem polityki mocarstw pozaeuropejskich. Pod wpływem przemijających okoliczności siły jej są niedoceniane, siły zaś tych mocarstw znacznie przeceniane. Dlatego też projekty oparcia pokoju i bezpieczeństwa na podziale świata między sfery wpływów 3 wielkich mocarstw zwycięskich są fikcją, która nie może wytrzymać próby życia i conajwyżej stać się może jedynie zarzewiem nowych powikłań, źródłem wstrząsów, które swymi rozmiarami i następstwami zaćmią to wszystko, czegośmy dotychczas byli świadkami.

Niemniej fikcja ta zaczyna oddziaływać na położenie polityczne. Konferencja w Teheranie i jej następstwa nie pozostały bez wpływu na bieg wypadków, wykolejając dotychczasową politykę mocarstw i wysuwając zagadnienie rosyjskie w całej pełni i w nowym świetle na widownię polityczną świata.

Trudno zdać sobie sprawę z tego, jak w oczach mocarstw zachodnich przedstawia się to zagadnienie. Z wynurzeń kierowniczych osobistości politycznych, z tonu prasy oraz z postawy szerokiej opinii anglosaskiej wnosić raczej należy, że do głębszego zrozumienia problemu, w dzisiejszej jego postaci, jeszcze nie doszło. Dla nas jednak, znających to zagadnienie bliżej i z autopsji, nietrudno jest określić, jakie w świetle faktów i doktryny komunistycznej są rzeczywiste cele i dążenia polityki sowieckiej. A ponieważ cele te i dążenia dotyczą również Polski, muszę, choć w paru słowach, zająć się omówieniem ich istotnej treści.

Wydaje mi się, że Rosja jest jedynym mocarstwem posiadającym w tej wojnie konsekwentną, na dłuższą metę zakreśloną politykę. Polityka ta wyrasta z dwu źródeł. Jedno z nich to dążenia imperialistyczne organizmu geo-politycznego, jakim jest państwo rosyjskie bez względu na jego ustrój i formę rządu, drugie — dążenie wyrastające z doktryny rewolucyjnej komunizmu, z faktu że w Sowietach powstaje i formuje się nowa cywilizacja, której zachowanie i rozwój wymagają rozszerzania się na inne kraje i narody. W tej wojnie celami polityki pierwszej, którą nazwać można ściśle rosyjską, są: *zniszczenie Niemiec, oraz dążenie do pełnego rozwiązania historycznego zagadnienia rosyjskiego — osiągnięcia ciepłych mórz.* Zarówno jedno jak i drugie stanowi dla Rosji sprawę wielkiej wagi, wysuwającą się na czoło jej zainteresowań politycznych i mającą głębsze uzasadnienie w jej interesach państwowych.

W ciągu ostatniego ćwierćwiecza Rosja była widownią dwukrotnego najazdu niemieckiego, który ostatnio dotarł nietylko do Moskwy ,ale do Wołgi i Kaukazu. Zjawisko to nie jest przypadkowe, a niemieckie parcie ku równinom rosyjskim, jej surowcom i słabo zaludnionym obszarom, nie jest przemijające. Wyrasta ono z najistotniejszych dążeń niemieckich, wyrażających się w dziejowym *parciu na wschód* i jest poprzedzone szeregiem doniosłych historycznych faktów — w rodzaju rozbiorów Polski oraz wewnętrznej *politycznej kolonizacji* Rosji carskiej przez Niemcy. Wzrost potęgi niemieckiej równoznaczny jest ze wzrostem zagrożenia Rosji i nie sądzę, by Rosjanie nie zdawali sobie z tego sprawy i by poniechali okazji wydatnego pomniejszenia, jeśli nie zupełnego zlikwidowania, tego niebezpieczeństwa.

Obecna wojna nastręcza im wyjątkowo łatwą okazję. Oto walczą z Niemcami poza Rosją jeszcze dwa wielkie mocarstwa, których zjednoczone siły pozwalają nietylko na złamanie Niemiec, ale i na całkowite wyzyskanie militarnego zwycięstwa, na podcięcie potęgi niemieckiej u podstaw. Dlaczegożby Rosja nie miała jaknajszerzej skorzystać z tej koniunktury, która może się już nie powtórzyć, dlaczego by miała — jak się tego niektórzy obawiają — zawrzeć z Niemcami oddzielny pokój? Wszystko przemawia za tym, że obawy te są nieuzasadnione i że Rosja będzie dążyć do całkowitego osłabienia Rzeszy oraz narodu niemieckiego.

Drugie dążenie, o którym już mówiłem, a które stanowi rozwiązanie problemu osiągnięcia ciepłych mórz, jest niemniej ważnym zagadnieniem polityki rosyjskiej. Rosja zajmująca jedną szóstą część lądu na kuli ziemskiej, obfitująca w niewyczerpane bogactwa naturalne, pozbawiona jest dogodnych portów i szerokiego wyjścia na oceany. Z wyjątkiem Władywostoku i Murmańska reszta portów rosyjskich nie przedstawia większej wartości; są to porty zamarzające. Porty Morza Czarnego, które zaczynają odgrywać coraz większe znaczenie w życiu gospodarczym Rosji, dyskwalifikuje fakt, że Morze Czarne jest *morzem zamkniętym* i że wyjście zeń do Morza Śródziemnego prowadzi przez cieśniny znajdujące się w ręku tureckim. Sprawa dogodnego dostępu do mórz niezamarzających jest starą, historyczną sprawą polityki rosyjskiej. Niejedną już toczono o nią wojnę i niejeden wysiłek podejmowała Rosja celem jej rozwiązania. Dziś, kiedy Rosja szybkimi krokami zmierza ku uprzemysłowieniu, kiedy w okresie ostatniego dwudziestolecia poczyniła na tej drodze olbrzymie postępy, sprawa dostępu do mórz i oceanów stała się dla niej jeszcze bardziej paląca i ważną.

Dlatego też Rosja w tej wojnie obok pierwszego celu, jakim jest zniszczenie potęgi niemieckiej, założyła sobie cel drugi — zdobycia jaknajdłuższej linii wybrzeża Baltyckiego, oraz dotarcia przez Bałkany do Morza Śródziemnego. Pragnąc zaś załatwić te sprawy i utrzymać się twardo na zdobytych pozycjach, musi rozciągnąć kontrolę nad całym międzymorzem i zapanować w ten czy inny sposób nad stumilionową masą narodów tam mieszkających. Tu jest źródło wojny z Finlandią, zaboru Estonii, Łotwy i Litwy, wojny z Bułgarią, Słowacją i Węgrami, aliansu z Czechami, wspierania marsz. Tito i komunistów greckich, wreszcie linii Mołotow-Ribbentrop oraz polityki Komitetu Wyzwolenia Narodowego w Lublinie.

Jest to wielki i śmiały program polityki rosyjskiej, który o ile by się jej powiódł, doprowadziłby Unię Sowiecką do niebywałej potęgi i stałby się punktem wyjścia do prób owładnięcia Europą, w dalszym zaś biegu rzuciłby groźny cień na inne części świata. Metoda jaką Sowiety usiłują urzeczywistnić te zamiary, jest wieloraka. A więc wielkie operacje militarne, zręczna gra dyplomatyczna wyzyskująca plany organizacji pokoju oparte na sferach wpływów 3 mocarstw zwycięskich, łudzenie kapitalizmu anglosaskiego widokami współpracy gospodarczej po wojnie i wreszcie w stosunku do narodów żyjących w domniemanej sferze wpływów rosyjskich — metoda narzucania im rządów i przygotowywania tam wojny domowej.

Czy jednak te szerokie plany odpowiadają możliwościom rosyjskim? Czy Sowiety nie popełniają tego samego błędu co Hitlerowskie Niemcy, zakładając sobie cele, których z braku wystarczających środków osiągnąć nie mogą? Czy nie pociągnie to za sobą zrozumiałej reakcji narodów i państw zagrożonych, chcących ratować swoją niezależność i swój byt? Są to pytania, które nasuwają się każdemu, w szczególności zaś nam wobec ostatnich wypadków rozgrywających się na naszym terenie, na obszarach naszego kraju. Widzimy bowiem do czego, — mimo deklaracji i oświadczeń — zmierza polityka sowiecka w Polsce. Konsekwentnie, od zajęcia naszych obszarów wschodnich w 1939 r. poprzez pakt Ribbentrop-Mołotow i praktyki okupacyjne aż do dnia dzisiejszego, podważa ona byt państwa polskiego i pod różnymi pozorami usiłuje uczynić z nas protektorat sowiecki, by później wobec — jak uczy historia — niemożności symbiozy polsko-rosyjskiej załatwić całą sprawę w sposób jeszcze bardziej radykalny i stanowczy.

Już dziś — mimo że należymy do grona państw sprzymierzonych i posiadamy nasze legalne władze państwowe, Sowiety uznały Komitet Wyzwolenia Narodowego za rząd *de facto*, powierzając mu sprawowanie administracji i formowanie armii polskiej. Wszyscy wiedzą, że Komitet Lubelski jest zwykłą agenturą Moskwy, że niema żadnego oparcia w społeczeństwie polskim, że jest pospolitą uzurpacją, niemniej jednak Moskwa usiłuje nadać mu charakter czynnika równorzędnego polskim władzom państwowym i sprowadzić w ten sposób wywołany przez siebie konflikt państwa polskiego z Sowietami do pozorów konfliktu wewnętrznego, konfliktu dwu walczących ze sobą polskich obozów politycznych

Nie trudno się domyśleć jakie są dalsze zamiary Sowietów i do czego te metody mają doprowadzić. To też jak już nadmieniłem, odpowiedź na pytanie: *czy plany założone przez politykę rosyjską w tej wojnie odpowiadają realnym możliwościom Sowietów* staje się szczególnie ważne dla nas i wiąże się bardzo ściśle z dręczącym nas wszystkich pytaniem, jaką będzie najbliższa przyszłość Polski.

Zwycięstwa sowieckie nad armiami niemieckimi, które doniedawna uważane były za niezwyciężone, wysoki duch bojowy, olbrzymia liczebność oraz sprawność organizacyjna i techniczna wojsk rosyjskich wytworzyły, nie bez udziału propagandy sowieckiej, przesadne pojęcie o potencjale wojennym Rosji. Jest on rzeczywiście zdumiewająco duży, nie znaczy to jednak by zdolność Sowietów do prowadzenia zwycięskiej wojny była niewyczerpana. Fakt, że Niemcy doszli do Wołgi i Kaukazu nie jest przecież wynikiem świadomego manewru dowództwa sowieckiego, klęska zaś jaką tam ponieśli — przy oddaniu całej sprawiedliwości zasługom i zaletom tego dowództwa, — musi być, przynajmniej w pewnym stopniu zaliczona na rachunek błędów dyletanckiej strategii Hitlera. Potencjał wojenny Rosji, aczkolwiek bardzo wielki, jest — jak już nadmieniłem — ograniczony i zważywszy długotrwałość wojny, olbrzymie ofiary w ludziach oraz straszne spustoszenie jakie spowodowała inwazja niemiecka w jej najżyźniejszych i najbogatszych okręgach, znacznie mniejszy dziś niż przed trzema laty. Ta okoliczność nie pozostanie bez wpływu na rozwój polityki sowieckiej, szczególnie w końcowym okresie wojny. Niewspółmierność założonych przez nią celów z siłami jakimi będzie mogła rozporządzać okaże się oczywistą, pociągając za sobą głębokie zmiany w położeniu politycznym świata.

Pamiętać bowiem należy, że końcowy okres wojny będzie szczególnie trudny dla Rosji. Zwycięstwo pociągnie za sobą konieczność wzięcia przez nią czynnego udziału w okupacji pokonanej Rzeszy. Inaczej Rosja nie będzie w stanie wyzyskać zwycięstwa i osiągnąć głównego celu w tej wojnie: zniszczenia w sposób radykalny i trwały niebezpieczeństwa niemieckiego. Plany rozbrojenia Niemiec, zniszczenia ich ciężkiego przemysłu, zmuszenia do zapłacenia w tej czy innej formie odszkodowań wojennych, wreszcie reedukacji ich młodego pokolenia nie dadzą się urzeczywistnić w innych warunkach niż w warunkach okupacji.

Dlatego to okupacja Niemiec staje się tak ważnym problemem, zresztą nietylko dla Rosji ale dla całej Europy, dla świata. Od sposobu rozwiązania tego problemu i związanych z nim zagadnień zależą losy pokoju, dalszy rozwój narodów i przyszłość naszej cywilizacji. Problem to trudny i groźny, nie należy bowiem przypuszczać, że okupacja Rzeszy będzie czymś innym niż dalszą wojną w zmienionej tylko postaci. Byłoby wielką lekkomyślnością sądzić, że powtórzy się rok 1918-ty i że naród niemiecki, uzbrojony po zęby i wychowany w duchu ideologii narodowo-socjalistycznej, po przegranej wojnie da się ujarzmić bez dalszej walki i bez nieustannego targania łańcuchów jakimi państwa zwycięskie będą usiłowały go ubezwładnić. Dość zważyć te przygotowania o jakich wiemy, że są podejmowane na wypadek załamanie się militarnego Niemiec—aby zdać sobie sprawę z rozmiarów trudności na jakie napotkają narody sprzymierzone w okresie okupacji Rzeszy. Trudności te będą szczególnie duże w rosyjskiej strefie okupacyjnej, a to ze względu na metody jakie będą stosowane przez władze sowieckie.

Nie bawiąc się w proroctwa co do szczegółów można z dużą dozą pewności stwierdzić, że armie okupacyjne znajdą się w męczącej, podstępnej i bardzo kosztownej wojnie podjazdowej z nieustannym powstaniem, w wojnie do której nie są jeszcze należycie przygotowane, nie znają bowiem metod jakie będą w niej stosowane przez przeciwnika.

Okupacja Niemiec z zagadnienia militarnego szybko się zamieni w palący problem polityczny, gdyż od jej form, zakresu, przebiegu i skutków uzależniona będzie stabilizacja stosunków świata.

Czy potrzeba zbyt wiele wyobraźni, by wystawić sobie położenie Rosji w tej końcowej fazie. Będzie ona musiała realizować naraz wszystkie założone w tej wojnie cele swoje polityczne. Będzie musiała myśleć o wyjściu do ciepłych mórz i na oceany, o ujarzmieniu naszego międzymorza z jego przeszło stumilionową ludnością i będzie zmuszona łamać opór osiemdziesięcio-milionowej Rzeszy, niszcząc radykalnie zarodki przyszłego renesansu niemieckiego. To wszystko wypadnie robić po kilku latach ciężkiej i krwawej wojny, w warunkach katastrofalnych zniszczeń zubożenia i wyludnienia, licząc się z koniecznością pomocy ekonomicznej ze strony swoich sprzymierzeńców. Nie sądzę by w tym stanie rzeczy dla kogokolwiek, nietylko dla Rosji, postawa narodów Europy Środkowej była sprawą obojętną. Wszak stanie się wtedy rzeczą oczywistą, że od tej postawy zależy bardzo wiele, przede wszystkim zaś możność załatwienia problemu niemieckiego i utrwalenia pokoju. I stanie się równocześnie oczywiste, że wolność i niepodległość państw znajdujących się na naszym międzymorzu jest warunkiem wolności Europy oraz — co nie jest bez znaczenia — warunkiem bezpieczeństwa mocarstw zwycięskich. Mozolnie wypracowane plany przyszłej organizacji świata opartej na ścisłej współpracy trzech wielkich mocarstw, z całkowitym niemal pominięciem roli Europy, okażą się wtedy zupełnie nieprzydatne, nieodpowiadające rzeczywistości, która w odmiennym świetle przedstawi realny układ sił. Na tle zniszczenia i wyczerpania wojennego oraz olbrzymich trudności złączonych z rozwiązaniem problemu okupacji Niemiec, Europa powróci do głosu, a wraz z nią kluczowe zagadnienie polityki naszego kontynentu — Polska.

Dziś, kiedy pasujemy się z naszymi trudnościami i równocześnie usiłujemy wytknąć dalszą linię naszej polityce, trzeba pamiętać o tym i dostosowywać nasze postępowanie do wymogów tej nieuchronnej fazy w rozwoju sytuacji wytworzonej przez obecną wojnę. Nie tu miejsce i czas po temu, aby zajmować się szczegółowym omówieniem dalszej naszej polityki. Pragnę tylko zaznaczyć, że musi ona być prowadzona w ten sposób, aby zgromadzić niezbędne siły i argumenty na ten decydujący okres rozprawy politycznej. Siły te tkwią w narodzie i jego wysiłkach zbrojnych, podejmowanych w tej czy innej postaci, argumenty w takim kierownictwie jego sprawami, aby zasada niepodległości i ciągłości legalnej jego państwa oraz moralno-polityczne przodownictwo wśród rzeszy państw naszego międzymorza w niczym nie zostały pomniejszone. Odnosi się to zarówno do postawy naszej w Kraju wobec prób ze strony sowieckiej zniszczenia najcenniejszych sił narodu i uczynienia z Polski protektoratu rosyjskiego, jak i do postawy naszego rządu i całej emigracji.

Muszę stwierdzić z całym naciskiem, że zarówno układ sił w Rządzie, który wbrew woli Kraju dotychczas nie jest jeszcze rządem Jedności Narodowej, jak i nasza oficjalna polityka nie odpowiadają w całości tym założeniom. Pod tym względem potrzebna jest reforma głęboka i bardzo szybka. Należy ściślej związać Rząd z Krajem zarówno przez przebudowę Gabinetu jak i przez podjęcie polityki, która by była wykładnikiem jasno zarysowującej się i słusznej postawy Kraju. Nadewszystko zaś trzeba naszą politykę oficjalną ustrzec przed takimi pociągnięciami, które w swoich wynikach ułatwiają Rosji deprecjonowanie nas w oczach świata jako samodzielnej i niezależnej siły, oraz związać ją jaknajściślej z dojrzewającą nową konjunkturą polityki światowej. Na tę nową zbliżającą się koniunkturę należy patrzeć nie przez okulary wielkich mocarstw, które oceniają ją często zupełnie opacznie, ale okiem realizmu politycznego, rozumiejącego cały mechanizm gry sił politycznych i istotny sens politycznych procesów. Trzeba pamiętać, że wierność przymierzu nie sprowadza się do rezygnacji z samodzielnego myślenia i samodzielnego działania i że nie jest jednoznaczna z powtarzaniem pacierza za Panią Matką.

Jestem głęboko przekonany, że mimo strasznych ofiar jakie ponieśliśmy i ponosimy Kraj zdobędzie się na niezależną postawę i nie zgodzi się na to, by w wyniku tej wojny Polska została okrojona i ograniczona w swoich prawach suwerennych: Jestem również przekonany, że nasza stanowczość, nasza wytrwałość i nasza nieugięłość stanie się zachętą, przykładem i hasłem dla naszych bliższych i dalszych sąsiadów, którzy znalazłszy się w zasięgu tej samej polityki, znaleźli się w podobnym co i my położeniu. Jeśli w roku 1939 byliśmy — jak nam raczono przyznać — natchnieniem świata, to niebawem będziemy natchnieniem narodów Europy Środkowej, co wobec zarysowujących się przemian i nadciągających wypadków, o których mówiłem wyżej, przyczyni się bardzo wydatnie do zmiany obecnego położenia politycznego.

Dziś Polska jest jak okręt miotany nawałnicą morską, żagle jego są w strzępach, maszty strzaskane, pokład zalewają fale. Szczury okrętowe gotują się do opuszczenia pogrążającej się w odmętach nawy. Zachowaj nas Boże przed tym, abyśmy, załoga tego okrętu, chociaż na chwilę zwątpili w ratunek, w zwycięstwo! Abyśmy choć na chwilę wypuścili ster z ręki! Ratunek przyjdzie. Kto głębiej patrzy, kto nie ogranicza się do rejestrowania zewnętrznych faktów, ten dojrzy zapowiedź wielkich zmian, które przyniosą nam pomyślniejszy wiatr. Jak już mówiłem, w ciemnym dla niejednego oka podścielisku sytuacji przemian politycznych należy szukać usprawiedliwienia wiary i punktu wyjścia dalszej naszej polityki, zmierzającej do wyzwolenia Narodu Polskiego i odbudowania jego Państwa.

ZYGMUNT BEREZOWSKI

LWÓW I LIVERPOOL

ODEZWA O BUDOWĘ OŁTARZA

W ponurym okresie 1940-41, kiedy Anglia z bohaterstwem znosiła cios za ciosem, znaczny procent wśród garstki lotników, broniących w dzień i w nocy tej wyspy, stanowili Polacy.

Dywizjonowi *Lwowskich Puhaczy* przypadł chlubny zaszczyt obrony Liverpoolu, bezlitośnie niszczonego szczególnie w nalotach nocnych.

Obecnie powstał projekt, aby uczcić pamięć tego pięknego okresu braterstwa wspólnej walki, przez ufundowanie Ołtarza ku czci Matki Boskiej Królowej Korony Polskiej we wspaniałej Katedrze Liverpoolskiej.

Ołtarz ma być ufundowany wspólnie przez Brytyjczyków i Polaków, rozmiary jego nie są ściśle ustalone i zależą w pierwszym względzie od środków pieniężnych, którymi będzie dysponował Komitet. Lwowscy lotnicy bronili Liverpoolu w najcięższych chwilach jakie to miasto przeżywało w tej wojnie. Dziś Liverpoolanie i Lwowianie pragną oddać swe miasta pod opiekę Królowej Korony Polskiej. Wyrażamy głęboką nadzieję, że wszyscy Polacy i wszyscy katolicy angielscy przyczynią się do ufundowania Ołtarza Matki Boskiej Królowej Korony Polskiej.

Prosimy o nadsyłanie ofiar pod adresem *The Editor, "Wings', 9 Chantrey House, Eccleston Street, London, S.W.1.*

DUMBARTON OAKS

PARADOKS chce, że ilekroć wysuwane są rozmaite projekty systemów "bezpieczeństwa", "organizacji pokoju" etc., nie są one odpowiednikiem postępu myśli ludzkiej w zakresie poszanowania praw bliźniego oraz rozwoju prawdziwej cywilizacji opartej na wielkości ducha i umiłowaniu wartości moralnych, a nie na wielkości potencjału wojennego oraz przywiązania do rzeczy materialnych.

DAWNIEJ

Jest to logiczną konsekwencją rozwoju naszej historii od XVI wieku, w którym rozerwana została moralna jedność społeczności zachodniej na skutek Reformacji. Dotąd istniała jedność Chrześcijaństwa, oparta na Prawie Bożym oraz na autorytecie Kościoła, przed którymi korzyć się musiały namiętności ludzkie. Niema nic piękniejszego jak kodeks rycerski chrześcijanina, którego od czasu odległego Średniowiecza nie prześcignęły żadne późniejsze "deklaracje", o ile chodzi o stronę moralną zasad. W ramach tej jedności Kościoła chrześcijańskiego narody rozwijały się bardziej autonomicznie niż w pierwszej połowie XX wieku. Istnieli i wówczas "agresorzy" oraz miały miejsce wojny zaborcze, ale istniało poczucie naturalnej solidarności międzynarodowej oraz istniał autorytet Papieża, najwyższego arbitra. Wobec Boga oraz wobec Papieża nie było różnic — i wszyscy monarchowie, za wyjątkiem jednego, Cesarza Św. Cesarstwa Rzymskiego, byli sobie równi. Czasy te nie były żadną sielanką: wypełniały je wojny, które rozdzierały porządek wewnętrzny chrześcijaństwa, ale były to jakgdyby wojny domowe, przy których istniało poczucie wzajemnych węzłów oraz wspólne cele. Były nimi obrona chrześcijaństwa oraz nakaz szerzenia jego cywilizacji.

Z rozbiciem jedności Kościoła rozbiła się ta przyrodzona jedność — i od tego czasu pojawiają się projekty jakiegoś nowego ładu, zazwyczaj opartego na hierarchii państw, w zależności od ich siły. Znane są tego rodzaju projekty francuskiego Henryka IV, króla Anglii i Szkocji Jakuba I oraz rozmaite projekty filozofów prawa międzynarodowego. Te teoretyczne projekty nie doczekały się nigdy realizacji, natomiast przyjął się system praktyczny t.zw. równowagi europejskiej (po angielsku "*balance of powers*"), w którym nie było żadnych stałych form organizacyjnych, natomiast obowiązywały traktaty, a jeszcze bardziej solidarność interesów słabszych państw wobec groźby dominacji jednego, najsilniejszego. Jak każdy tego rodzaju system praktyczny, nie był on ideałem — i ograniczał się właściwie tylko do jednego celu, którym było udaremnienie wszelkich prób zmierzających do państwa uniwersalnego. Natomiast nie kusił się on o realizowanie celów ogólniejszych, ani sam w sobie nie był instrumentem ogólnego bezpieczeństwa. W ramach tego systemu Polska mogła stracić niepodległość, zaś Włochy stać się "pojęciem geograficznym", o ile fakty te były rezultatem gry sił. Za to nie było żadnego mechanizmu prawnego ani politycznego, któryby większe państwa przeciwstawiał państwom mniejszym.

Pierwszą próbą w tym kierunku był dopiero traktat Świętego Przymierza z r. 1815, który się w praktyce nie utrzymał — wobec opozycji Anglii oraz Francji. Późniejszy t.zw. Koncert Europejski wprawdzie rozróżniał Wielkie Mocarstwa oraz inne państwa, rozróżnienie to jednak było czysto praktyczne i zmienne, zależne od roli, jaką dane państwo grało w stosunkach międzynarodowych. Stąd, podczas gdy pewne państwa, jak Hiszpania, wypadły z rzędu wielkich mocarstw, mogły doń wstępować inne, jak Włochy, Stany Zjednoczone Ameryki oraz Japonia (nowy system ostatnio obejmował już nietylko Europę). W systemie tym wielkie mocarstwa nieraz pobierały decyzje bez udziału mniejszych państw, ale były to decyzje albo między stronami, albo takie które dotyczyły nowych państw, jeżeli były one powoływane do życia na ich podstawie.

Pakt Ligi Narodów wysnuty z idealizmu Wilsonowskiego i z bardziej praktycznych przesłanek francuskich teoretyków prawa międzynarodowego, zmierzał do oparcia stosunków międzynarodowych na podstawach doskonałego systemu prawnego i politycznego, w którym problem współżycia narodów mógłby być bez reszty skodyfikowany. Nie był to pomysł całkowicie oderwany od dotychczasowej praktyki, w istocie bowiem był tylko rozszerzeniem i ulepszeniem dotychczasowego systemu "Koncertu". Nie była nowością ideologia Ligi Narodów, będąca urzeczywistnieniem naturalnych dążeń ludzkości do pokoju i bezpieczeństwa. Nowością były struktura organizacyjna Ligi oraz śmiałość, z jaką wojna i agresja, rzeczy równie stare i równie właściwe naturze ludzkiej jak pragnienie pokoju, zostały potępione. Nowością był zwłaszcza artykuł 10 Paktu Ligi, który zobowiązywał jej członków do respektowania oraz gwarantowania niepodległości i aktualnej integralności innych członków.

Harold Nicolson, który w ostatnim numerze "*Spectatora*" z dnia 21 października b.m. porównuje postanowienia paktu Ligi Narodów z postanowieniami konferencji w Dumbarton Oaks, słusznie zwraca uwagę na główną wadę Paktu, którą była znajdująca się u jego podstaw przesadna "wiara w naturę ludzką" oraz naiwne przekonanie autora Paktu, Wilsona, że wystarczy zabronić uciekania się do wojny, aby agresja raz na zawsze ustała. I słusznie, w związku z tym, widzi Nicolson jedną z przyczyn niepowodzeń systemu Ligowego w braku środków praktycznych, któreby uzupełniały konstrukcję prawną i logiczną mechanizmu Paktu. Zapomina on jednak dodać, że praktyczny umysł jego francuskich kolegów z konferencji pokojowej 1919 roku pragnął zapobiedz tym brakom za pomocą sankcyj politycznych i wojskowych, które mogły były stanowić tę właśnie pożądaną stronę mechanizmu Ligi. Że te sankcje nie weszły nigdy w życie, winę ponoszą obie demokracje anglosaskie, które przelękły się tej "odpowiedzialności" łącznej z pięćdziesięciu kilkoma państwami, którą to odpowiedzialność obecnie te same demokracje chcą dzielić już tylko w "trójkę" czy "czwórkę".

PROJEKT OBECNY

Konferencja w Dumbarton Oaks, w Stanach Zjednoczonych, przedstawicieli Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych, Rosji oraz Chin, odbywała się w atmosferze nowej, kiedy nietylko zasady Paktu Ligi Narodów ale również hasła tak niedawnej Karty Atlantyckiej zostały już złożone do lamusa kancelaryj dyplomatycznych "głównych mocarstw". Niedarmo mówi przysłowie, że "kto z kim przestaje takim się staje". Przymierze wojenne Zachodnich Demokracyj z Rosją Sowiecką, a być może, że również i zrozumiała zaraźliwość w stosunku do zasad oraz metod przeciwników, nie pozostaje bez wpływu na mentalność niektórych polityków brytyjskich i amerykańskich. W piątym roku wojny pomału zaciera się świadomość celów, dla których Wielka Brytania w r. 1939, a Stany Zjednoczonych w r. 1941, podjęły walkę z Mocarstwami "Osi". Układ podpisany w Dumbarton Oaks dnia 7 października 1944 ma na celu powołanie do życia organizacji międzynarodowej, która miałyby zająć miejsce dawnej Ligi Narodów. Autorzy układu przez zrozumiałą wstydliwość nie mieli odwagi nazywania nowej organizacji imieniem dawnej, od której tak bardzo różni się ona w swojej treści — i woleli zapożyczyć nazwy u przymierza wojennego Sojuszników, "Zjednoczone Narody."

Układ (który składa się z 12 rozdziałów) jako naczelny cel organizacji wysuwa dążenie "*do utrzymania międzynarodowego pokoju oraz bezpieczeństwa*", do czego wieść mają wspólne środki "dla zapobieżenia oraz uchylenia niebezpieczeństw dla pokoju oraz celem unicestwienia aktów agresji lub innych naruszeń pokoju, oraz celem doprowadzenia do łagodzenia lub uregulowania zatargów międzynarodowych, mogących powodować zerwanie pokoju." Dalsze zadania dotyczą: rozwijania przyjaznych stosunków między narodami; współpracy w zakresie problemów gospodarczych, socjalnych i humanitarnych; ustanowienia ośrodka dla harmonizowania dążeń poszczególnych narodów na drodze do tych celów (rozdz. 1-szy).

Rozdział 2-gi wymieniając zasady, jakie przyświecają organizacji, podkreśla zasadę suwerenności i równości wszystkich "pokój miłujących narodów", co niezupełnie godzi się z dalszymi postanowieniami układu. W tym samym rozdziale (p. IV-y) znajduje się zobowiązanie wszystkich członków organizacji "do powstrzymania się w swych międzynarodowych stosunkach od groźby oraz użycia siły we wszelkiej formie niezgodnej z celami organizacji."

Rozdział 3-ci pt. "Członkowie", stwierdza, że "członkowstwo organizacji jest dostępne dla wszystkich pokój miłujących narodów."

Rozdziały od 4-go do 10-go traktują o organach organizacji, którymi są a) zgromadzenie ogólne, b) rada bezpieczeństwa (wraz z komitetem wojskowym), c) międzynarodowy trybunał sprawiedliwości, d) sekretariat, e) inne organy pomocnicze.

Pomimo podobieństwa nazw istnieje zasadnicza różnica pomiędzy budową oraz wzajemnym stosunkiem tych organów oraz odnośnych organów Ligi Narodów, zwłaszcza o ile chodzi o stosunek Rady do Zgromadzenia, czyli wzajemny stosunek między wielkimi mocarstwami oraz innymi państwami. W nowej organizacji zadania Zgromadzenia są całkowicie dekoracyjne. W praktyce nie będzie ono mogło występować z żadnymi

inicjatywami natury politycznej wobec wyraźnych ograniczeń jego kompetencji, zaś wpływ Zgromadzenia na skład Rady (o ile chodzi o członków z wyboru) i w związku z tym na politykę Rady, jest sprowadzony do minimum przez zakaz reelekcji członków z wyboru. Istotną władzą organizacji będzie Rada, a ściśle biorąc członkowie stali Rady, jako reprezentujący ciągłość jej polityki oraz wyłącznie dysponujący oraz kierujący siłą militarną organizacji (Komitet Wojskowy).

Oznacza to całkowitą przewagę wielkich mocarstw, pozycję zaś mniejszych państw ogranicza do roli przedmiotów raczej niż podmiotów organizacji. Układ pozostawia *niezałatwioną* sprawę postępowania w wypadku agresji, popełnionej przez jedno z wielkich mocarstw (t.j. stałych członków Rady). W praktyce zadania przyszłej organizacji ograniczałyby się do dozorowania mniejszych państw przez większe — i to wyłącznie przez stałych członków Rady, ponieważ siły zbrojne organizacji, czyli jej "policja", znajdować się będą w ich rękach. Nie wynika stąd wprost, że celem organizacji będzie obrona wielkich mocarstw przed niebezpieczeństwem agresji ze strony mniejszych państwi, jeżeli jednak stawiają się one w roli arbitrów w wypadkach mało prawdopodobnych konfliktów wywołanych przez same mniejsze państwa, bez udziału większych — jakie dają gwarancje na wypadek bardziej prawdopodobny, agresji popełnionej ze strony wielkiego mocarstwa wobec mniejszego sąsiada? W brzmieniu układu w Dumbarton Oaks — żadne.

Odwrotnie, z rozdz. VIII-go pkt. c) o układach regionalnych można wyprowadzić wniosek, że poszczególne wielkie mocarstwa wykonywałyby swoją "policję" w granicach swoich rejonów, czyli swoich "stref wpływów", nie mieszałyby się natomiast do konfliktów lokalnych w innych strefach. Oznaczałoby to, że Wielka Brytania byłaby równie obojętna w wypadkach agresji Finlandii przeciwko Rosji, jak naodwrót, nie mówiąc już o takich wypadkach, jak agresja Bułgarji przeciw Rumunii.

Nie wynika to z samego brzmienia tego punktu. Zaznacza on tylko, że, "nic w układzie nie przesądza istnienia układów regionalnych lub organów (*agencies*) powołanych do zajmowania się tego rodzaju sprawami, dotyczącymi utrzymania pokoju międzynarodowego oraz bezpieczeństwa, które wymagałyby regionalnej akcji, pod warunkiem, że tego rodzaju układy lub organy oraz ich działalność będą zgodne z celami oraz zasadami organizacji" oraz stwierdza dalej, że "Rada Bezpieczeństwa winna popierać załatwianie lokalnych sporów za pomocą tego rodzaju układów regionalnych lub regionalnych organów, zarówno z inicjatywy zainteresowanych państw jak z polecenia Rady Bezpieczeństwa." Byłoby to postanowienie wysoce pożyteczne, jeżeli istotnie miałoby być zachętą do integracji państw danego obszaru, zwłaszcza o ile chodzi o mniejsze państwa — po linii słynnego przemówienia Churchilla z marca 1943. Wiadomo jednak, że tego rodzaju uniom regionalnym (zwłaszcza w interesującej nas części Europy) jest zasadniczo przeciwne jedno z mocarstw — o ile pojęcie tego rodzaju unii nie miałoby się pokrywać z koncepcją "stref wpływów", lub jak teraz się nazywa "stref bezpieczeństwa" wielkich mocarstw. Mocarstwo to zresztą miało podobno wysuwać w czasie konferencji w Dumbarton Oaks projekt, według którego sankcje bezpieczeństwa, czyli policję pokojową, wykonywałyby nie wszystkie mocarstwa razem, ale zainteresowane wielkie mocarstwo (jedno z wielkiej "czwórki" lub "piątki") w swoim rejonie.

Tendencja w kierunku dominacji wielkich mocarstw znalazła też swój wyraz w niezałatwionej dotąd sprawie obradowania Rady Bezpieczeństwa (Rozdz. VI pkt. c.). O ile w Zgromadzeniu Ogólnym uchwały zapadają większością głosów zwykłą lub kwalifikowaną, w sprawie głosowania w Radzie zarysowały się poważne trudności, gdyż wspomniane już wyżej mocarstwo domagało się, aby w pewnych sprawach zasadniczych obowiązywała jednomyślność, przyczem liczyłyby się tylko głosy stałych członków rady. Wynikałoby stąd prawo *veta* tych członków, które miałoby praktyczne znaczenie zwłaszcza w wypadku, gdyby Rada chciała się zajmować sprawą sporną, w której odnośne wielkie mocarstwo byłoby stroną. Według dawnej procedury Ligi Narodów strony nie mogły być jednocześnie "sędziemi" w sprawach, które ich dotyczyły — i nie mogły głosować w tych sprawach. Wyjście z Ligi Narodów Japonii, a potem Włoch było następstwem ich uroszczeń do tego rodzaju prawa veta wielkich mocarstw. Wówczas jednak uroszczenia takie mogły być do pewnego stopnia zrozumiałe wobec niedostatecznego autorytetu Ligi Narodów, cierpiącej na ten zasadniczy brak od czasu defekcji Stanów Zjednoczonych.

Z poszczególnych postanowień układu wynika, że nietylko samo uczestnictwo w organizacji jest dostępne dla wszystkich "pokój miłujących narodów", ale mogą one również korzystać z mechanizmu koncyliacyjnego organizacji (rozdz. VII. (VIII.). Należałoby przypuszczać, że podobne uprawnienia będą rozciągały się w przyszłości na obecne państwa nieprzyjacielskie, kiedy staną się one z powrotem "miłującymi pokój."

"UNHOLY ALLIANCE"

Nie jest rzeczą pochlebną dla wyników prac w Dumbarton Oaks, ani szczęśliwym horoskopem dla ich przyszłości, jeżeli nie dla przyszłości świata, to, że niektórzy komentatorzy nowego Paktu nawiązują go chętniej do tradycyj "Świętego Przymierza" z r. 1815, niż do Paktu Ligi Narodów z r. 1919.

Zachodzi coprawda pewna analogia z systemem Świętego Przymierza. Wojna z Napoleonem, od czasu ujawnienia się jego polityki zaborów, prowadzona była przez ówczesnych Sprzymierzonych pod hasłem wolności narodów oraz poszanowania praaw, *legitymizmu;* zakończyła się natomiast ujarzmieniem Włoch przez Austrię, Polski przez Rosję oraz Niemiec przez Prusy. Zasada legitymizmu zastosowana została tam tylko, gdzie nie mogła bezpośrednio naruszać zdobyczy wojennych największych mocarstw. Bonapartydzi zostali usunięci z Królestwa Neapolu, z Niderlandów i z Hiszpanii, które powróciły do prawowitych władców, ale państwa włoskie, a w ich rzędzie Wenecja nie odzyskały już niepodległości, podobnie jak Polska, Prusy zaś zagarnęły cały szereg mniejszych państewek niemieckich. System ustanowiony wówczas dla strzeżenia nowego porządku został oparty na sile militarnej trzech mocarstw, Rosji, Prus i Austrii, które działając solidarnie na zasadzie traktatu "Świętego Przymierza" miały interweniować zbrojnie przeciwko "agresorom", t.j. ruchom wolnościowym w Europie. Zawarciu tego paktu trzech monarchów towarzyszyła frazeologia "dobra powszechnego" i "dobra ludzkości" — a zaczynała się ona od inwokacji do Świętej Trójcy. W istocie rzeczy był to akt solidarności trzech grabieżców — i grabież oraz strach przed utratą łupów łączył trzy mocarstwa, z których jedno było katolickie, drugie protestanckie, a trzecie prawosławne. Tę spółkę trzech mocarstw i trzech władców absolutnych, którzy sami nazwali ją "świętym przymierzem", krytycy *angielscy* w XIX wieku ochrzcili "Bezbożnym Przymierzem" (*Unholy Alliance*).

I tutaj jest kres analogii między traktatem "Świętego Przymierza" oraz paktem w Dumbarton Oaks. Do traktatu Świętego Przymierza nie przystąpiła bowiem, pomimo że była do niego zaproszona, Anglia — i Anglii należy się główna zasługa, że to dzieło obskurantyzmu i tyranii nie mogło się utrzymać. Anglia bowiem naprzekór polityce "dworów północnych" dopomogła rozmaitym mniejszym narodom, jak w Europie Grekom, Belgom i Włochom, a w Ameryce narodom południowo-amerykańskim, zdobyć niepodległość, i przy jej życzliwym poparciu absolutyzm propagowany przez Święte Przymierze, został stopniowo wszędzie zastąpiony przez systemy liberalne. Bez poparcia liberalnej Anglji nie byłoby ani "wiosny ludów", ani "*Risorgimento*".

Należy również przypomnieć, że system Świętego Przymierza nigdzie nie spotkał się z równie surową krytyką oraz potępieniem, jak w młodej wówczas republice amerykańskiej. Właśnie na tle protestu przeciwko temu systemowi tyranii i imperializmu Prezydent Stanów Zjednoczonych Monroe zformułował w roku 1823 słynną doktrynę polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych, która uświęcając prawo samostanowienia ludów przeciwko przemocy obcej władzy, stała się podstawą ideologii amerykańskiej. Doktryna ta znajdowała się u podstaw interwencji Wilsona w poprzedniej wojnie światowej, będąc natchnieniem dla nowego porządku, opartego na jednakim poszanowaniu prawa silnych i słabych. Nic dziwnego ,że postanowienia w Dumbarton Oaks, które są zaprzeczeniem tej zasady, spotkały się z mocną krytyką wśród niezależnej opinii w Stanach Zjednoczonych, wśród głosów której znalazł się również głos Gubernatora Dewey'a, kandydata Partii Republikańskiej na stanowisko prezydenta Stanów Zjednoczonych.

System Świętego Przymierza był pośrednio wymierzony przeciw Francji — i dlatego we Francji był zawsze znienawidzony jako symbol ucisku i wstecznictwa. W XIX i XX wieku Francja była główną szampionką praw jednostek i narodów, patronując wszelkim dążeniom wolnościowym. Stąd do niedawna jeszcze sympatie całego świata, a zwłaszcza sympatie "mniejszych narodów" stale były zwrócone w kierunku Paryża, stolicy narodu, który w poczuciu swojej, wielkiej misji oraz wielkiej odpowiedzialności umiał widzieć większe i świętsze cele, niż te, które przyświecały autorom Świętego Przymierza i ich spadkobiercom w Dumbarton Oaks. Dlatego i dzisiaj, kiedy Francja jest znowu wolna, oczy wszystkich znowu obracają się ku temu narodowi arcychrześcijańskiemu, którego czyny — GESTA DEI PER FRANCOS — nie dadzą się zmierzyć jedynie zimną kalkulacją wymogów koniunktury. Oby Francja jak najrychlej podniosła się z upadku i wróciła do swej tradycyjnej roli w Europie i świecie.

CONTINENTALIS

DWIE KONSTYTUCJE

ZASADA, że konstytucja z 23 kwietnia 1935 r. jest jedyną ustawą konstytucyjną, na której można oprzeć prawne istnienie naszych instytucyj państwowych i ciągłość prawną Państwa, stanowi jedną z zasad naczelnych, które uznaje i uznawać musi każdy Rząd Polski. Jest to zasada niewzruszona i niesporna. Wszelkie próby jej podważenia są próbami przeprowadzenia tezy, że Państwo Polskie przestało istnieć we wrześniu 1939 r., tezy sprzecznej zarówno z prawem międzynarodowym jak i z rzeczywistością. Gdy więc prof. Stroński w wydanej niedawno broszurze [1]) daje w sposób wymowny wyraz przekonaniu, że Polska musi pozostać na gruncie prawnym, że żaden Rząd Polski — o ile miałby się nazywać Rządem — nie mógłby zerwać z konstytucją r. 1935 i zastąpić ją jakąkolwiek inną, tym jego wywodom należy przyznać całkowitą słuszność. Pisze on (str. 15) że "Rząd Polski, który by dowolnie obwieścił uchylenie obowiązującej konstytucji r. 1935, przestałby z tą samą chwilą być Rządem Polskim, którym jest właśnie i tylko na podstawie obowiązującej konstytucji, tak jak i Prezydent R.P., który by to uznał i zgodził się na obwieszczenie, przestałby być Prezydentem R.P. . . . Odrazu zamiast prawnych władz Państwa, Prezydenta i Rządu, byłby już tylko Komitet Polski w Londynie."

Poważne natomiast wątpliwości nasuwać mogą wywody prof. Strońskiego, w których komentuje oświadczenie Prezydenta z 30 listopada 1939 r. i porównywa konstytucję r. 1935 z konstytucją r. 1921, dochodząc do wniosku, że pierwsza — na tle powyższego oświadczenia Prezydenta — jest *bardziej* demokratyczna, usunięty z niej bowiem został wszelki pierwiastek jedynowładztwa.

Przede wszystkiem trzeba stwierdzić, że pierwiastku jedynowładztwa nie było wogóle w konstytucji r. 1921, nie ma go też w konstytucji r. 1935. Jedynowładztwem są nieograniczone i niekontrolowane rządy jednostki. Konstytucja marcowa była bardzo daleka od idei takich rządów, konstytucja kwietniowa była im może bliższa, lecz również ich nie wprowadziła. Istnieją w tej konstytucji Rząd, Izby Ustawodawcze i niezależne sądy. Rząd ma szerokie uprawnienia (kieruje sprawami Państwa niezastrzeżonymi innym organom władzy), Izbom Ustawodawczym służy prawo kontroli działalności Rządu, a sędziowie są niezawiśli i związani tylko prawem. Konstytucja r. 1935 nie przyjęła nawet systemu amerykańskiego, w którym Prezydent rządzi bezpośrednio, będąc równocześnie głową rządu, mianując i odwołując według swego uznania ministrów (sekretarzy stanu). Według konstytucji r. 1935 Prezydent rządów nie sprawuje, harmonizuje jedynie działania naczelnych organów państwowych. W stosunku do aktów urzędowych Prezydenta, przyjmuje konstytucja kwietniowa, wzorem ustrojów parlamentarnych, *zasadę kontrasygnaty* przez odpowiedzialnych ministrów. Wprowadza ona jednak równocześnie niezbyt fortunne odstępstwo od tej zasady: w art. 13 wylicza akty, które Prezydent R.P. ma prawo wydawać pod własną odpowiedzialnością, bez kontrasygnaty, nazywając te akty *prerogatywami.* Prerogatywy stanowią wyjątek od obowiązującej zasady kontrasygnowania aktów Prezydenta przez ministrów; wyliczenie art. 13 jest wyczerpujące; wszystkie inne akty urzędowe Prezydenta, prócz wymienionych w art. 13, wymagają kontrasygnaty. Najważniejszymi aktami, objętemi art. 13, są: wyznaczanie na czas wojny następcy Prezydenta R.P., mianowanie i odwoływanie Prezesa Rady Ministrów, mianowanie i zwalnianie Naczelnego Wodza.

Odstępstwo od zasady, że za każdy akt urzędowy Prezydenta musi odpowiadać minister, biorący na siebie tę odpowiedzialność przez kontrasygnowanie aktu, prowadzi do wydawania aktów, za które nikt nie odpowiada, Prezydent bowiem nie jest za swe akty urzędowe odpowiedzialny. Taki stan rzeczy nie jest jeszcze wprawdzie jedynowładztwem, bo na decyzje Prezydenta wpływa Rząd i jego stosunek do parlamentu, lecz koncepcja prerogatyw przeczy współczesnym pojęciom o władzy i odpowiedzialności. Dlatego też Prezydent w dniu 30 listopada 1939 r. uznał za wskazane złożyć oświadczenie, przytaczane przez prof. Strońskiego na str. 7, w którym powiedział:

> "W ramach konstytucji kwietniowej postanowiłem te jej przepisy, które uprawniają mnie do samodzielnego działania, wykonywać jedynie w ścisłym porozumieniu z Prezesem Rady Ministrów. Postanowienie to nie tylko zamierzam wykonywać osobiście, lecz tę moją wolę przekazałem również gen. Kazimierzowi Sosnkowskiemu, wyznaczonemu przeze mnie na następcę Prezydenta R.P. w razie opróżnienia się urzędu Prezydenta przed zawarciem pokoju."

Słusznie stwierdza prof. Stroński, że w oświadczeniu powyższym Prezydent nie zrzekł się swych konstytucyjnych uprawnień, lecz tylko określił sposób ich wykonywania, co mógł uczynić bez naruszenia konstytucji. Ponieważ jednak przepisami, uprawniającymi Prezydenta do samodzielnego działania, są właśnie przepisy art. 13 konstytucji, obejmujące m.i. mianowanie i odwoływanie Prezesa Rady Ministrów, prof. Stroński dochodzi do wniosku, że również mianowanie i odwołanie Prezesa Rady Ministrów *nie może* nastąpić inaczej, jak w porozumieniu z nim samym. Innymi słowy, Prezes Rady Ministrów, a z nim i Rząd, może zostawać u władzy tak długo jak zechce. Bez zgody Premiera, Prezydent odwołać Rządu nie może. Uzasadnienie tego wniosku stanowi główną treść broszury.

Trudno się zgodzić z takim postawieniem sprawy. Jak wyżej wskazano, art. 13 uchybiał demokratycznej zasadzie kontrasygnaty; oświadczenie Prezydenta mogło mieć na celu jedynie uzupełnienie tego braku w sposób, nie naruszający przepisów konstytucji. Wymienione w oświadczeniu porozumienie miało zastąpić niemożliwą ze stanowiska konstytucji kontrasygnatę i tylko takie znaczenie można mu przypisywać. Po złożeniu oświadczenia z 30 listopada powstał taki stan prawny, jaki by istniał, gdyby konstytucja r. 1935 przewidywała, wzorem konstytucji r. 1921, kontrasygnatę ministrów na wszystkich bez wyjątku aktach urzędowych Prezydenta. Gdyby konstytucja kwietniowa nie znała prerogatyw, paryskie "pacta conventa" byłyby zbędne.

Konstytucja r. 1935 zatem, po złożeniu przez Prezydenta powyższego oświadczenia, nie stała się *bardziej* demokratyczna od konstytucji r. 1921. Można co najwyżej przyjąć, że Prezydent postanowił wykonywać ją w sposób *równie* demokratyczny, ale nie więcej.

Stan rzeczy zresztą, jaki by powstał w wyniku przyjęcia interpretacji prof. Strońskiego, przeczyłby wszelkim założeniom rządów demokratycznych. Według tej interpretacji Rząd miałby oceniać sam, czy ma zostać u władzy, czy ustąpić. Najbardziej katastrofalne wyniki polityki rządowej nie mogłyby uprawnić Prezydenta do odwołania Rządu, gdyby ten, wbrew wszystkiemu, chciał trwać u władzy. Rząd miałby się kontrolować sam, t.zn. byłby czynnikiem niekontrolowanym i nieodpowiedzialnym. Odpowiedzialność parlamentarna Rządu w obecnych warunkach nie istnieje, odpowiedzialność konstytucyjna przed Trybunałem Stanu w przyszłości wobec ograniczeń konstytucyjnych nie wchodzi w rachubę; kontrola Rządu przez stronnictwa, *należące do jego składu*, jest fikcją, ponieważ stronnictwa te są same za politykę Rządu odpowiedzialne, a zatem czynnika obiektywnego nie stanowią; są one nadto czynnikiem pozaustawowym i pozakonstytucyjnym oraz *instytucjonalnie* nieodpowiedzialnym. (Odpowiadać one owszem będą, ale tylko politycznie, w Polsce, po wojnie). Podstawą jednak rządów demokratycznych jest kontrola oraz odpowiedzialność *w samym mechanizmie konstytucji.* Podstawą zaś kontroli jest niezależność czynnika kontrolującego od kontrolowanego, a już co najmniej różność tych czynników.

Zarówno porozumienie, o którym mowa w oświadczeniu z 30 listopada ,jak i warunek kontrasygnaty wszystkich aktów urzędowych Prezydenta, przewidziany w konstytucji marcowej, prowadzą do wyników praktycznie jednoznacznych: w jednym i w drugim przypadku akt urzędowy Prezydenta może dojść do skutku tylko za zgodą obu stron, t.zn. Prezydenta i Rządu. W ramach jednak konstytucji marcowej nikt by się nie odważył bronić poglądu, że Prezydent nie może odwołać Rządu. Akty, zwalniające Prezesa Rady Ministrów i ministrów z ich urzędów, kontrasygnował zazwyczaj tenże Prezes Rady Ministrów; dopiero po maju 1926 r. zaczęła się przyjmować u nas odmienna, choć niepoprawna praktyka kontrasygnowania dymisji dotychczasowego Rządu przez nowego Prezesa Rady Ministrów. Nowy kandydat na Premiera może w zasadzie tworzyć Rząd dopiero wtedy, gdy Rząd dotychczasowy jest w stanie dymisji, dymisja ta powinna następować zatem przed nominacją nowego Rządu. Premier dotychczasowego Rządu nie może jednak odmówić podpisu pod swoją własną dymisją, jeżeli Prezydent tego żąda; podpis taki jest nie tylko koniecznością, wynikającą ze stanowiska konstytucyjnego Głowy Państwa i z dobrych obyczajów konstytucyjnych, lecz również warunkiem sprawnego działania mechanizmu naczelnych władz państwowych. Zagadnienie zyskuje na ostrości, jeżeli się je weźmie od odwrotnej strony: w wyniku rozumowania prof. Strońskiego, Prezydent mógłby nie odwołać Rządu lub ministrów, którzy zgłosili swoje ustąpienie, gdyby był zdania, że winni pozostać — nie byłoby wówczas porozumienia. Nikogo jednak nie można zmusić do pozostawania na urzędzie wbrew jego woli; zasadę tę uznają nawet totalitarne systemy rządzenia.

Uprawnienie do powoływania i odwoływania Rządu jest w demokratycznych konstytucjach całego świata *najistotniejszym* uprawnieniem Głowy Państwa; Prezydent, który by zrezygnował z tego uprawnienia lub uniemożliwił sobie jego wykonywanie, zrzekłby się najistotniejszej swojej atrybucji i sprowadziłby swój

[1]) Spór o dwie konstytucje 1921 i 1935. Książnica Polska, Glasgow 1944.

urząd do fikcji. Warunkiem normalnego działania ustroju *parlamentarnego* jest istnienie trzech czynników: Głowy Państwa, Parlamentu i Rządu. Brak jednego z nich prowadzi do wypaczenia ustroju i do wstrząsów. W warunkach obecnych brak nam parlamentu, tego najważniejszego czynnika kontroli. Prof. Stroński przekreśla drugi czynnik *strukturalny* ustroju — Głowę Państwa. Zostaje na placu tylko Rząd, nieograniczony, niekontrolowany, arbitralny.

Nie zamierza się tu bronić tezy, że trwanie lub ustąpienie Rządu zależy od dowolnej decyzji Prezydenta. Takiego stanu rzeczy nie było bynajmniej, wbrew twierdzeniu prof. Strońskiego, w okresie obowiązywania konstytucji marcowej. Prezydent związany był wówczas, i to związany nadmiernie, wolą większości parlamentarnej, która mogła popierać Rząd bądź domagać się jego ustąpienia. Prezydent ze stanowiska konstytucji mógł się nie liczyć z tą wolą, mógł udzielić dymisji Rządowi, cieszącemu się poparciem większości; takie postępowanie jednak doprowadziłoby w krótkim czasie, przy założeni-normalnego działania aparatu konstytucyjnego, do kryzysu na fotelu prezydenckim. Prezydent mógł mieć większą swobodę działania, gdy albo nie było w parlamencie większości, albo większość ta była niezdecydowana i chwiejna. Czynnikiem kontrolującym Rząd był w konstytucji r. 1921 parlament, czynnikiem kontroli uzupełniającej był Prezydent; decyzja należała *zawsze* do Prezydenta.

W konstytucji r. 1935 kontrola Rządu przez parlament uległa osłabieniu, kontrola Rządu przez Prezydenta została wzmocniona i wysunięta na plan pierwszy. Obie jednak konstytucje przeprowadziły zasadę, że czynnikiem kontrolującym Rząd musi być czynnik zewnętrzny, pozarządowy, że kontrola nad działalnością Rządu nie może należeć do niego samego.

W warunkach obecnych kontrola parlamentarna odpada; potrzeba jednak instytucji od Rządu niezależnej, a kontrolującej go politycznie; istnienie jej jest jednym z warunków współczesnego systemu rządzenia. Konstytucyjnie instytucją tą jest Prezydent R.P. Nie znaczy to jednak, aby Prezydent mógł być w swych decyzjach arbitralny. Musi on szukać oparcia dla swych postanowień w zorganizowanej opinii publicznej, reprezentowanej przede wszystkim przez Kraj. Rola Prezydenta jest tu nieporównanie trudniejsza, niż w warunkach normalnego działania ustroju parlamentarnego. W warunkach normalnych Prezydent stoi przed wyraźnie i konstytucyjnie ujętą wolą parlamentu; w warunkach obecnych — musi być dokładnie i sumiennie informowany o postawie politycznej i dążeniach Kraju. Rząd emigracyjny jest mandatariuszem Kraju; wola Kraju nakreśla linię polityki rządowej, a rolą Prezydenta jest przestrzeganie, aby nie było tu rozbieżności. Chcąc mieć tu sprawdzian, Prezydent musi dbać o to, aby organizacje krajowe były należycie informowane i aby nie stały wobec konieczności podejmowania zasadniczych decyzji politycznych, nie mając swobody ich powzięcia, ani wyboru. Wskaźniki płynące z Kraju, mają charakter rozstrzygający, należy jednak umieć je czytać.

Prezydent ma jeszcze inne wskaźniki dla swej decyzji. Pierwszym z nich jest *prawo*. Każda próba rządowa postąpienia wbrew prawu i obowiązującej konstytucji musiałaby się spotkać z natychmiastową reakcją. Prawo nasze wobec utraty niepodległego bytu państwowego straciło swój właściwy charakter, odpadł w nim element przymusu. Stało się ono jednak widomym znakiem naszej suwerenności, symbolem niezmiennego istnienia Państwa, legatem, który winniśmy przekazać w całości wolnej Polsce.

Drugim jest zasadnicza koncepcja polityczna, przyjęta przez ogromną większość polskiej opinii publicznej na czas wojny: koncepcja *rządów koalicyjnych*, jednoczących najważniejsze ruchy polityczne, rządów Jedności Narodowej. Prezydent stoi na straży tej jedności. Naruszenie jej w składzie Rządu, utrzymywanie *fikcji* politycznych, mających na celu wytworzenie przy pomocy *figurantów* przekonania, że jedność istnieje, maskowanie firmą tej jedności — *rządów centrolewu* jest grą polityczną, nie odpowiadającą bynajmniej przesłankom, na jakich oparto w dniu 30 listopada 1939 r. współpracę Prezydenta i Rządu.

Trzecim wskaźnikiem wreszcie jest opinia polska na emigracji. Emigracja ta reprezentuje wprawdzie tylko znikomą część Narodu, lecz w skład jej wchodzi znacznie większy od przeciętnego odsetek elementów politycznie świadomych i czynnych. Postawa jej jednak i osądy mają charakter w dużej mierze emocjonalny, zabarwione są często antagonizmami przeszłości; umiejętność odróżnienia w niej zdrowych czynników ma duże znaczenie.

Całokształt tych wskaźników daje dość uchwytne i przedmiotowe kryteria dla postępowania Prezydenta. Nie można odbierać Głowie Państwa praw, które jej przyznają konstytucje całego świata, należy jednak przestrzegać przed wykonywaniem tych praw w duchu dowolności. Tylko w ten sposób można uczynić zadość postulatowi kontroli politycznej, bez której wrócilibyśmy do zamierzchłych i pogrzebanych już koncepcji rządów oligarchicznych.

Prof. Stroński popełnia jeszcze jeden błąd w swym rozumowaniu. Nie można budować porównawczej konstrukcji prawnej w oparciu z jednej strony o przepisy ustawy, a z drugiej o oświadczenie, nie mające ani charakteru *normy prawnej* ani nawet charakteru *umownego*. Konstrukcja taka ani nie przekonywa, ani nie budzi zaufania. Ustawa pozostanie ustawą, a oświadczenie z 30 listopada będzie zawsze tylko jednostronnym oświadczeniem ze wszystkimi tego konsekwencjami i możliwościami.

Glossator

NOTY I UWAGI

IDEAŁY

MOŻE najlepiej zacząć *Noty i uwagi* po ostatniej konferencji w Moskwie od cytatu z artykułu z konferencją tą nie mającego nic wspólnego. Mianowicie p. J. Hampden Jackson w *The Spectator* z 27 października tak zaczyna swój artykuł p.t. "Zapomniane ideały":

"Dziwny nastrój zapanował w tym kraju, nastrój który różnie opisywano jako cynizm, sceptycyzm i oślepienie. Weszliśmy w tą wojnę jako szermierz małych narodów, prowadziliśmy ją w wielkim narodowym wysiłku o samo-zachowanie, kończymy ją jako szermierze . . . czego? "*W miarę postępu tej wojny stawała się ona w swoim charakterze co raz mniej ideologiczna*", — oświadczył Churchill w swojej wielkiej mowie w maju b.r. Jakie ideały pozostały? Mogę dostrzec w szerokich kołach społeczeństwa tylko trzy: Bezpieczeństwo, Planowanie i Ujednolicenie. Bezpieczeństwo od lęku i niedostatku, od agresji i nędzy; planowanie zatrudnienia i dobrobytu; ujednolicenie dla osiągnięcia sprawiedliwości oraz jako środek do dwóch pierwszych celów. Wszystkie trzy zawołania wyrażają niewątpliwie konieczności chwili bieżącej, ale dziwne jest, że przyjmuje się je w Brytanii za ideały. Gdyż gdyby się dążyło do osiągnięcia ich dla nich samych, doprowadziłyby one do niczego innego jak właśnie Państwa Niewoli.'"

Od Państwa Niewoli do Świata Niewoli tylko jeden krok, a potem już nie będzie powrotu.

ROZMOWY MOSKIEWSKIE

Oświadczenie Churchilla w brytyjskim Parlamencie w dniu 27 października 1944 o ostatnich rozmowach w Moskwie nie było bynajmniej przepojone optymizmem. Zdanie, iż w kwestii polskiej doszłoby się do stanu rozpaczy, gdyby się porzuciło nadzieję, odnosi się — sądzimy — nie tylko do kwestii polskiej, ale do wszystkich w ogóle kwestyj, które mają być załatwiane wespół ze Związkiem Sowieckim. I kto wie czy nie trzeba najpierw dojść do stanu rozpaczy, by zajrzawszy jeszcze śmielej rzeczywistości w oczy, niż to uczynił Premier brytyjski ,dostrzec rąbek nadziei.

Więc w słowach Churchilla dotychczasowa jedność między wielkimi Sprzymierzonymi była — "cudem"; więc "musimy rozpraszać nieporozumienia"; więc nie osiągnięto w Moskwie "rezultatów ostatecznych", a osiągnąć je będzie można dopiero po spotkaniu szefów rządów wszystkich trzech wielkich mocarstw. Z drugiej strony nigdy jeszcze stosunki W. Brytanii z Rosją nie były tak "ścisłe, intymne i serdeczne, niż obecnie". Co prawda z tego określenia można sobie wyrobić tylko względne pojęcie, a nie bezwzględne, o rzeczywistości anglo-rosyjskiej, ale to musiało słuchaczom wystarczyć.

Porozumienie osiągnięto w sprawach strategii wojennej w ogóle i na Bałkanach. Wszystkie inne sprawy na tym półwyspie zostały odroczone. W szczególności oba ośrodki polityczne jugosłowiańskie mają ze sobą współdziałać dla celów wojennych, a wszystkie zasadnicze sprawy państwowe mają być przekazane do załatwienia "jugosłowiańskiemu ludowi." Nie ulega wątpliwości, że i inne "ludy" bałkańskie rezerwują sobie te same prawa i że przyszłość Bałkanów w tej chwili nie da się przewidzieć.

Ta perspektywa wyrwała Premierowi brytyjskiemu zrozumiały zupełnie w tych okolicznościach okrzyk:

"O ileż lepiej, żeby na tych niespokojnych i kłopotliwych terenach była wspólna polityka anglo-sosyjska, niż żeby jedna strona popierać miała jeden system ideowy, a druga wręcz przeciwny. Byłby to najbardziej szkodliwy stan rzeczy, gdyby powstał i rozwinął się w jakimkolwiek kraju, gdyż mógłby łatwo rozszerzyć się na odpowiednie różnice między samymi wielkimi

mocarstwami. Mamy szczerą nadzieję i zarazem ścisły obowiązek tak prowadzić naszą politykę, żeby te małe narody nie ześlizgnęły się z wielkiego wysiłku wojennego w stan wewnętrznych walk zaprawionych skrajną goryczą."

Porozumienie na Bałkanach nie objęło niestety, choćby tylko swoją atmosferą tymczasowości — Polski. Z mowy prem. Churchilla wynikać się zdaje, że Komitet Lubelski jest tylko środkiem nacisku na Polskę w sprawach terytorialnych. Prawdopodobnie spostrzeżenie to oparte jest wyłącznie na materiale moskiewskim i — naszym zdaniem — nie znajduje potwierdzenia w rzeczywistości polskiej na terytoriach obsadzonych przez siły sowieckie.

W sprawach terytorialnych strona rosyjska dążyła do przesądzenia swoich pretensyj bez czekania na konferencję pokojową i spotkała się tu z poparciem strony brytyjskiej. Ze sprawą tą łączy się propozycja kompensaty na zachodzie i północy — z tym jednakże, że Królewiec Rosja rezerwuje również dla siebie.

Dosyć niekonsekwentne stanowisko zajmuje w tej sprawie prasa londyńska. *Observer* wskazuje np., iż nieprzyjęcie propozycyj rosyjskich przez Rząd polski w chwili obecnej narazić może na szwank stosunki polsko-brytyjskie. Jest to stanowisko niepoważne. Cóż za znaczenie mogą mieć dla Polski stosunki brytyjsko-polskie, jeżeli Polska jeszcze raz straci niepodległość — tym razem na rzecz Rosji? Może co prawda *Observer* rozumować, iż chodzi tu o stosunek W. Brytanii do Polaków znajdujących się w W. Brytanii i na frontach, ale nie zna nawet emigracyjnych Polaków, kto sądzi, iż naśladowali by oni biblijnego Ezawa i sprzedaliby powierzone im prawa Polski za miskę soczewicy.

Bardzo ciekawe spostrzeżenie i może nawet ostrzeżenie znajdujemy w *Sunday Times*, który tak mówi o nabytkach polskich z terenów przedwojennej Rzezy niemieckiej:

"Naturalnie nie jest możliwa pełna gwarancja co do tych cesyj terytorialnych, które uzależnione są od ostatecznego układu pokojowego. Z drugiej strony, gdyby Rząd polski przyjął linię Curzona, byłby to akt nieodwołalny."

"PRAWDA"

Z długiego artykułu moskiewskiej "*Prawdy*" z 21 października o rozmowach moskiewskich wyjmiemy dwa tylko interesujące nas najbardziej w tej chwili ustępy. Pierwszy:

"Społeczeństwo sowieckie dowiedziało się z zadowoleniem, iż w wyniku gruntownych dyskusyj w Moskwie osiągnięto znaczny postęp w kierunku rozwiązania kwestii polskiej. Ludy Związku Sowieckiego dobrze pamiętają, że przez długi czas w historii Polska często służyła za korytarz, którym obcy najeźdźcy wpadali do naszego kraju. W jednym pokoleniu bandyci niemieccy dwa razy włamali się do naszego kraju od zachodu.

"Naturalnie więc ludność naszego kraju zainteresowana jest życiowo w tym, żeby przyszła Polska, razem z innymi naszymi zachodnimi sąsiadami, przestała być korytarzem dla jakiegokolwiek wysiłku nowej niemieckiej agresji."

Innymi słowy, Polska winna jest najazdów niemieckich na Rosję ,choć przy pierwszym z nich nie istniała jako państwo niepodległe i w znacznej mierze znajdowała się w ręku rosyjskim, w drugim zaś wystąpiła do walki z Niemcami prawie dwa lata wcześniej niż Rosja. Można sobie wyobrazić, jaką Sowiety chcą Polsce zgotować przyszłość, jeżeli tak przedstawiają przeszłość.

Drugi wyjątek o Polsce w tym artykule brzmi:

"Równocześnie tylko Polska, w której władzę sprawować będą mężowie mający na celu zbudowanie Państwa w oparciu o zasady demokratyczne, zdolna będzie do wyzwolenia ludu polskiego z pod jarzma feudalnych landlordów i zaopatrzenia chłopstwa polskiego w ziemię. Tylko taka Polska nie będzie ośrodkiem niepokoju i groźby wojennej na zachodniej granicy naszej Ojczyzny, natomiast będzie jednym z bastionów trwałego pokoju w Europie."

Okazuje się więc, że chłopi polscy mają otrzymać ziemię w oparciu o zasady demokracji sowieckiej. Chłop polski tej ziemi nie chce, znając dobrze los chłopa rosyjskiego. Najważniejsze jednak jest, iż artykuł "*Prawdy*" pozostaje w całkowitej sprzeczności werbalnej z ogłoszonymi wielokrotnie przez Stalina sowieckimi celami wojennymi. Naród polski i narody Europy wyciągną stąd niewątpliwie właściwe wnioski.

TAKTYKA KRUSZENIA OD WEWNĄTRZ

Pod tym tytułem ("*The Tactics of Disintegration*") pisze ostatnio wybornie redagowany tygodnik katolicki w Londynie *The Tablet*: "Komitet Lubelski nadal napiera ze swymi atakami na Rząd polski:

"*Skrytobójstwa* — cytuje *The Tablet* z oświadczeń lubelskich — *walki bratobójcze, wytwarzanie chaosu — oto są owe obłąkane i zbrodnicze środki, przy pomocy których reakcjoniści polscy starają się zapewnić Mikołajczykowi atuty dla jego rokowań z Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego. Lecz polska demokracja nie pozwoli się szantażować, nie pozwoli, by potomkowie landlordów i ich faszystowscy najemnicy skoczyli jej do gardła*" . . . *i t.d.*

"Oto jest — pisze dalej od siebie już *The Tablet* — język ludzi, którzy, jak brzmią doniesienia, pragną założyć Londynie biuro propagandy przeciw Rządowi Polskiemu. Gazety jak *The Times* i *The Economist*, które były "bardzo zaskoczone" ("*very surprized*") iż narzucona rezygnacja Sosnkowskiego nie przyniosła żadnego z rezultatów, które miały — jak sobie te gazety wyobrażały — spłynąć z niej — może teraz zaczynają rozumieć, że Komitet Lubelski założono nie dla innego celu, jak tylko żeby nadkruszyć Rząd Polski i samemu wstąpić na jego miejsce oraz iż Komitet przedstawia sobą projektowaną kontrolę rosyjską nad Rządem Polskim."

The Tablet wyraża przypuszczenie, że publicyści *The Times* i *The Economist* może już te rzeczy rozumieją? Może. A może jeszcze nie.

SYTUACJA W POLSCE

W sytuacji w Polsce pod okupacją sowiecką niestety nie tylko się nic nie zmieniło od ostatniego naszego przedstawienia rzeczy, ale wiele się jeszcze pogorszyło. Nie będziemy tu podawali szczegółów. Milczenie Rządu Polskiego w tej sprawie jest w najwyższym stopniu niepokojące i wprost złowieszcze. Milczenia tego nie można sobie niczym wytłumaczyć.

Jeśli idzie o wpływ strategii rosyjskiej na rzeczywistość w Polsce, to zdaje się ona dążyć do zapewnienia sobie jak najwięcej żywności z wyniszczonego kraju dla wojsk rosyjskich oraz do wydobycia jaknajwiększej ilości żołnierza do formacyj Berlinga, które mają w coraz wyższym stopniu zastępować oddziały rosyjskie przenoszone na Bałkany. Stąd "reforma rolna", której pierwszym celem jest kontrola produkcji i spożycia zboża, i stąd gwałtowna rekrutacja do szeregów. Nie wiemy czy strategia rosyjska te swoje cele osiągnie, a raczej nawet sądzimy, że ich nie osiągnie. Były one do osiągnięcia przy innej polityce rosyjskiej, polityce życzliwości Polsce niepodległej, która bynajmniej nie musi stać na drodze szerszych uzasadnionych planów rosyjskich.

BIERUT

Wyrzucenie z Komitetu Lubelskiego Andrzeja Witosa zdaje się świadczyć o tym, że skoro chłopi polscy za nim nie poszli, stał się on dla komunistów zupełnie bezużyteczny. Andrzej Witos był członkiem "Krajowej Rady Narodowej" i wiceprezesem jej formalnej emanacji Komitetu Wyzwolenia, w którym ponadto piastował "tekę" rolnictwa i reform rolnych. Został usunięty ze wszystkich tych, swoich stanowisk. Dalszy jego los na razie nieznany. Był on kukłą w rękach komunistów, którzy go wysuwali tylko ze względu na nazwisko jego brata Wincentego.

Tym wyraźniej więc widać teraz w Komitecie komunistów, których czołową osobistością jest stary funkcjonariusz Partii i Kominternu, Rosjanin obecnie — Bierut. Życiorys jego podał niedawno londyński tygodnik *The Weekly Review*, który tu cytujemy:

"P. Bierut urodził się blisko Lublina pod nazwiskiem Krasidębski. Podczas ostatniej wojny zmobilizowany został do armii rosyjskiej w stopniu szeregowca. Kiedy w 1917 r. wybuchła rosyjska rewolucja, wstąpił do Partii Komunistycznej, odbył specjalne kursy i ostatecznie przydzielony został do Sekcji Polskiej Kominternu w Moskwie. W 1921 r. przybrał obywatelstwo sowieckie pod obecnym swoim nazwiskiem Eugeniusz Bierut. W 1923 r. został posłany w tajemnicy przez Komintern do Polski i przez dwa lata brał wybitny udział w organizowaniu tam działalności wywrotowej. Kiedy w 1923 r. musiał z Polski uciekać, przeniesiony został do Wiednia w charakterze członka Polskiej Sekcji Kominternu oddział na Europę Środkowo-Wschodnią. W 1929/30 oddział ten został przeniesiony do Pragi, a zadaniem Bieruta tam było posyłanie ajentów do sąsiednich krajów. W 1932 r. Bierut, pod pseudonimem "Bieńkowski", posłany został do Polski, gdzie go aresztowano i skazano na siedm lat więzienia. Jako obywatel sowiecki został wkrótce wymieniony na Polaków więzionych w Związku Sowieckim i wrócił do Rosji. W 1936 r. wrócił do Pragi, gdzie został przydzielony, pod pseudonimem "Rutkowski" do zagranicznej sekcji G.P.U. (obecnie N.K.W.D.), która tworzyła tam oddział Kominternu. Tuż przed wojną w 1939 r. Bierut został odwołany do Moskwy, a potem zjawił się we Lwowie z Czerwoną Armią, okupującą Wschodnią Polskę we wrześniu 1939, i kierował osobiście deportowaniem i skazywaniem wielu Polaków i Ukraińców. Po wybuchu rosyjsko-niemieckiej opuścił Lwów wracając do Moskwy, ale już w grudniu

1941 zrzucony został na spadochronie z samolotu sowieckiego w okupowanej przez Niemców Polsce. Działalność jego wtedy była skierowana przeciw polskiej Armii Krajowej i Administracji Państwa Podziemnego, podlegającej Rządowi w Londynie. Próbował on utworzyć organizację zależną od Związku Sowieckiego, lecz spotkał się z niepowodzeniem i w marcu 1944 wrócił do Moskwy z czterema ze swoich współpracowników, z których jednym był Osóbka-Morawski (przewodniczący obecnego "Komitetu Narodowego"). Grupa ta występuje jako delegacja "Krajowej Rady Narodowej" i razem z pewną liczbą osób ze "Związku Polskich Patriotów w Moskwie" utworzyła "Polski Komitet Wyzwolenia", z którym Rząd sowiecki podpisał w lipcu 1944 układ, powierzający Komitetowi wszelką władzę na terytorium Polski na zachód od linii Curzona."

KOMUNIŚCI W LONDYNIE

Działalność komunistyczna wśród Polaków zaczyna się przejawiać i w Londynie, z równym co prawda skutkiem co i w Polsce — t.zn. żadnym. Ostatnio ukazały się w obiegu dwie ulotki, obliczone na sianie zamętu w społeczeństwie polskim, a przede wszystkim w Siłach Zbrojnych. Autorzy ulotek atakują przede wszystkim Prezydenta Raczkiewicza i Gen. Sosnkowskiego, a zachwalają niektórych członków Rządu, oddając im zresztą przez to niedźwiedzią przysługę. Ton ulotek i ich argumentacja są takie, iż napewno nie mógł ich ułożyć nikt, kto nosi mundur polski. Jedna rzecz tylko dziwi i niepokoi, a mianowicie, że autorzy ulotek orientują sie dokładnie w polskich sprawach wewnętrznych, zarówno politycznych jak i wojskowych. Zadaniem, które sobie ci ajenci postawili, jest niewątpliwie wywlekanie polskich spraw państwowych i wojskowych na ulicę. Czas najwyższy, aby odpowiednie czynniki urzędowe zajęły się tym i wyszukały, gdzie w emigracyjnym aparacie państwowym jest ta dziura, przez którą wyciekają wiadomości i informacje.

Nie można nie zwrócić uwagi na fakt, że ulotki są — oczywiście — anonimowe. Dodatkowy to dowód, że nie stoją za nimi żadne koła polskie, choć autorzy ulotek podpisują się "Słudzy Orła Białego" oraz "Związek Obrony Rzeczypospolitej". Znana to metoda przybierania polskich piórek przez ajentów obcych. Zanadto przypomina ona radiostację "Kościuszko", żeby nie można było jej poznać.

"SZEF POLSKI PODZIEMNEJ"

Z 26 N-ru "*Orła Białego*" wyjmujemy dłuższy cytat z artykułu "Pielgrzymi", rzucający znamienne światło na Dr. Józefa H. Retingera, znanego w kołach międzynarodowych pośrednika. Niedawno cytowaliśmy z londyńskiej "*The Jewish Chronicle*", jak to p. Retinger podawał się za katolika prześladowanego w Polsce z racji swoich przekonań w sprawie żydowskiej, teraz czytamy w "*Białym Orle*" o tym znowu, jak to p. Retinger podawał się za przywódcę Ruchu Podziemnego w Polsce. Uczynił to w czasie spotkania się w Egipcie z prem. Mikołajczykiem w czasie pierwszej podróży tego ostatniego do Moskwy. Oto cytat:

". . . premier spotkał się w Kairze bardzo ostentacyjnie z dwoma Polakami, z których jednym był p. Tomasz Arciszewski, senior polskich socjalistów, przewidziany przez p. Prezydenta Raczkiewicza na swego następcę, a drugim niejaki p. Retinger, który — jak się zdaje — udał się niedawno z Londynu do kraju i towarzyszył p. Arciszewskiemu w drodze do Londynu. W komunikatach londyńskich przedstawiono obu panów jako reprezentantów Polski Podziemnej i starano się wywołać wrażenie, że podróż moskiewska odbywała się za zgodą Kraju.

"Zapewne z inicjatywy ruchliwego p. Retingera ukazał się w prasie kairskiej wywiad z oboma podróżnymi. Charakterystyczny jest tytuł, jaki wywiadowi temu dał np. "*Le Progres Egyptien*": "Sprzeczne oświadczenie dwóch szefów (!) polskiego ruchu podziemnego". Tytuł ten istotnie bardzo dokładnie odpowiada treści wywiadów. Sprzeczność, jaka między niemi zachodzi, jest w samej rzeczy zastanawiająca; odsłania ona, lepiej niż długie analizy, różnicę, jaka zachodzi między opinią Kraju, a opinią pewnych obałamuconych czynników polskich w Londynie.

"P. Retinger (który przemawiał do dziennikarzy pierwszy !) — oświadczył (cytujemy za "*Le Journal d'Egypt*"): "Jeżeli p. Mikołajczyk zawrze porozumienie z rządem sowieckim, znajdzie poparcie całego narodu polskiego, jakiekolwiek byłyby warunki tego porozumienia". To podał p. Retinger do wierzenia dziennikarzom egipskim jako opinię Kraju! Aby to powiedzieć, podszył się bezceremonialnie pod maskę "przywódcy polskiego ruchu podziemnego". P. Retinger nigdy nie był żadnym przywódcą, a kilkutygodniowy pobyt w Polsce nie daje mu najmniejszego prawa do przedstawiania swojej osoby jako "szefa Polski Podziemnej"!

"P. Tomasz Arciszewski natomiast oświadczył: "Doceniamy wszyscy udział Rosji w wojnie. Lecz gdyby podjęto próby narzucenia rządowi polskiemu warunków niemożliwych, które zmusiłyby Polaków do wznoszenia swego własnego grobu we własnym kraju, obawiam się, że wynikłyby z tego zamieszki i trudności. Polacy myślą obecnie tylko o tym, czy po okupacji niemieckiej nastąpi inna okupacja ich kraju. Mam nadzieję że sprzymierzeni będą czuwali, by Polska nie była opuszczona."

Jedyną cenną informacją, jaką podał p. Retinger w odpowiedzi na zapytania dziennikarzy, była wiadomość, że nie zauważył w Polsce wzrostu wpływów partii komunistycznej. Nam tego nie potrzeba wyjaśniać, ale Egipcjanom (prawdziwym i wszelkiego rodzaju innym) może się taka informacja przydać. P. Arciszewski dodał, że jedynym zadaniem odbudowanego pod mianem "Partii Robotniczej" ruchu komunistycznego w Polsce jest "zdezorganizowanie ruchu podziemnego". P. Arciszewski stwierdził ponadto, że komuniści stanowią trzon t.zw. "komitetu wyzwolenia narodowego", który zapewne szybko stanie się organizacją czysto komunistyczną (p. Arciszewski powiedział, że "obawia się tego"). Byłoby dobrze, gdyby takie prawdy dotarły także do . . . Londynu".

Tyle *Orzeł Biały*. Sądzimy, że Rząd polski powinien udzielić przywódcom Polski Podziemnej jakiejś satysfakcji za to podszywanie się pod ich godność jednego z londyńskich funkcjonariuszy tego Rządu.

KIEREŃSZCZYZNA?

Nie możemy pominąć w przeglądzie spraw polskich tak pożałowania godnego zdarzenia, jak wystąpienie polityczne wicepremiera obecnego Gabinetu p. Kwapińskiego w . . . wojsku. W pierwszych dniach października 1944 p. Kwapiński odbył dwa zebranie w jednym z miast brytyjskich z szeregowymi i oficerami. Na zebraniach tych występował w charakterze nie tylko członka rządu, ale i polityka socjalistycznego, wychwalając P.P.S. oraz zachwalając niektórych członków tego stronnictwa jako kandydatów na ministrów. Na zebraniach tych p. Kwapiński postawił sobie za cel wyjaśnić dymisję Gen. Sosnkowskiego oraz inne posunięcia rządowe, niczego jednak nie wyjaśnił, pomimo że na jednym z zebrań padło bardzo dużo dobrze sformułowanych pytań.

Jako minister i polityk p. Kwapiński zaszkodził sobie tylko tonem i argumentacją swoich wystąpień i z tego punktu widzenia nie byłoby powodu do niepokoju. Z drugiej jednak strony jesteśmy tu świadkami, iż wbrew głoszonym hasłom trzymania Sił Zbrojnych zdala od polityki, urządzono właściwie w wojsku dwa wiece polityczne. Uczestnicy tych zebrań skarżyli się autorowi niniejszych uwag, że właściwie zmusiło się ich do wysłuchania przemówienia nie tyle ministra ile działacza partyjnego i że organizacja Sił Zbrojnych nie powinna służyć do takich celów.

Znamienne jest, że p. min .Kwapiński usiłował — bezskutecznie — przekonać słuchaczy, iż Rząd obecny jest Rządem Jedności Narodowej, co jako żywo nie odpowiada rzeczywistości. Po przybyciu z Kraju i oświadczeniach w tej sprawie zarówno w rozmowach politycznych jak i w wywiadzie w "*Myśli Polskiej*" p. Zygmunta Berezowskiego żaden minister, a więc i p. Kwapiński, nie może mówić o udziale Stronnictwa Narodowego w Rządzie. Niezbyt więc taktownie wypadło ze strony tak poważnego polityka socjalistycznego wciąganie do dyskusji zupełnie innych, wewnętrznych, spraw Stronnictwa Narodowego i powoływanie się w tej sprawie na p. Berezowskiego, który nie był tam obecny.

W sumie, niestety, stwierdzić trzeba, że Gabinet obecny zamiast walczyć i starać się o sprawy całych naszych Sił Zbrojnych *na zewnątrz*, o dostateczne uzbrojenie wszystkich sił walczących oraz o organizowanie nowych jednostek, od dłuższego już czasu poświęca swoją energię sprawom *wewnętrznym* i personalnym wojska, przekreślając tym samym wszelkie zdrowe zasady ustroju i organizacji Sił Zbrojnych.

MIMOCHODEM

WZOROWY MINISTER

"*Polak w Meksyku*", organ tamtejszej Delegatury Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej, redagowany wedle najlepszej woli i wiary przez podwładnych p. min. Stańczyka, wydał w lipcu specjalny numer poświęcony wizycie Szefa (t.j. p. Stańczyka) w tamtejszym osiedlu uchodźców polskich. Numer ten powinien służyć całej prasie polskiej za wzór jak pisać o wizytach ministrów. Oto próbka:

"Po powitaniu Pan Minister rozpoczął zwiedzanie osiedla zachodząc najpierw do kuchni, stamtąd udał się do świetlicy i biblioteki, a następnie zwiedził szkołę. Po wyjściu ze szkoły Pan Minister skierował swe kroki w stronę budynków administracyjnych i biur, skąd udał się do szpitala. Następnie Pan Minister zwiedził mieszkania prywatne uchodźców, przyczem zwrócił szczególną uwagę na ciasnotę pomieszczeń i duże przepełnienie panujące w osiedlu. M. in. Pan Minister wyraził pogląd, że lepiej odrazu budować nowe osiedle, niż przerabiać stare rudery. W końcu Pan Minister zwiedził sierociniec. Po zwiedzaniu, trwającym dwie godziny, w trakcie którego Pan Minister zwracał baczną uwagę na wszystko i rozmawiał z poszczególnymi mieszkańcami osiedla interesując się wszystkimi zagadnieniami, dotyczącymi ich życia i zaglądając do "każdego kąta", udał się na plac, gdzie przemówił do zgromadzonej ludności.

"Po skończonej mowie do dorosłych, Pan Minister udał się do kina, gdzie przemówił do zgromadzonej dziatwy.

"Po spożyciu w gronie uchodźców obiadu w stołówce, Pan Minister udał się do miasta Leonu w celu odbycia szeregu konferencyj z odnośnymi władzami meksykańskimi, dla uzgodnienia szeregu spraw dotyczących osiedla.

"Następnego dnia Pan Minister przyjął szereg osób na specjalnym posłuchaniu, poczem przemówił jeszcze raz do zebranej ludności, informując ją o wydaniu szeregu zarządzeń, zmierzających do podniesienia poziomu duchowego, jak i materialnego całości osiedla."

Ponadto p. min. Stańczyk zwiedził meksykańską kopalnię srebra. Reporter opisuje i tę wizytę z entuzjazmem należnym tak wysoko postawionej osobie:

"Pan Minister Stańczyk był nader serdecznie witany przez samych górników przy pracy. Z zainteresowaniem Minister przyglądał się technicznym urządzeniom kopalni oraz procesowi pracy podziemnej, wywołując tym żywe zadowolenie pracujących. Ku uwadze malkontentów naszego osiedla zaznaczamy, że przeciętny górnik meksykański za dzień ciężkiej pracy podziemnej otrzymuje 2.90 ct. i jest zadowolony ze swego zarobku."

Reportaż ten przypomina opisy i opowiadania czeskiego Szwejka, ale przypomina też jednego z naszych rodzimych geniuszy, zapomnianego już krakowskiego dziennikarza z *Nowej Reformy*, Prokesza. Ten to Prokesz znany był ze swej recenzji pra-premiery *Wesela* Wyspiańskiego zakończonej słowami: *I tak to skocznymi tany zakończyła się ta pogodna sztuka z życia naszego ludu wiejskiego.* Nie tylko jednak ta recenzja jest tytułem do chwały zacnego Prokesza. Z jego reportaży o c.k. znakomitościach i ich wizytacjach złośliwi krakowianie układali specjalne *vademecum* dziennikarza w rodzaju:

Pytanie: *Jakim krokiem wysiadł Pan Minister z wagonu?*

Odpowiedź: Elastycznym krokiem wysiadł Pan Minister z wagonu.

Spróbujmy zanalizować tu metodą Prokesza reportaż naszego meksykańskiego *con-frére.*

— *Co Pan Minister zwrócił w stronę budynków administracyjnych?*

— Pan Minister zwrócił w stronę budynków administracyjnych — swe kroki!

— *Na czym Pan Minister przyjął szereg osób?*

— Na specjalnym posłuchaniu!

— *Do podniesienia czego zmierzało wydanie szeregu zarządzeń Pana Ministra?*

— Poziomu duchowego!

— *Z czym Pan Minister przyglądał się technicznym urządzeniom?*

— Z zainteresowaniem!

— *Co wywołując!?*

— Żywe zadowolenie pracujących!

— *Co zaznaczamy ku uwadze naszych malkontentów w Meksyku?*

— Żeby byli zadowoleni ze swoich ciasnych pomieszczeń i ruder, oraz żeby nie zazdrościli diet podróżnych po całej kuli ziemskiej Panu Ministrowi, podnosząc w ten sposób swój poziom duchowy, a jego materialny.

MINISTER IDEALISTA

W dobrze redagowanym *Biuletynie* Klubu Ziem Zachodnich znajdujemy ostatnio artykuł wstępny p. min. Seydy, który musi każdego niewiernego Tomasza przekonać o idealizmie autora. Artykuł ten jest dokumentarnym dowodem, który p. Seyda zechce zapewne przedłożyć w Polsce, iż nie dla fotelu ministerialnego, poborów i wygód zaparł się swojej politycznej przeszłości i wyrządził niezmierne szkody sprawie polskiej — ale dla ideałów! Oto jak wymownie zachęca czytelników *Biuletynu* do idealizmu:

"Czy Polska była motorem naszych poczynań, czy też była tylko na ustach naszych? Czy służba jej dobru była początkiem i końcem naszego myślenia i działania, czy też sprawa polska była nam raczej narzędziem, służącym celom ubocznym — osobistym czy partyjnym? Czy zdolni byliśmy do ofiary dla Ojczyzny, ofiary moralnej czy fizycznej, ofiary zdławienia w sobie wszelkiego egoizmu i wszelkiej małości, czy też tam gdzie się zaczynała prawdziwa ofiara, kończył się nasz patriotyzm?"

Autor nie wątpi widocznie, że odpowiedź co do niego samego wypadnie następująco:

Polska była zawsze motorem jego poczynań, a nie była tylko na ustach jego! Służba jej dobru była początkiem i końcem jego myślenia i działania, a sprawa polska nie była mu raczej narzędziem, służącym celom ubocznym — osobistym czy partyjnym! Zdolny był do ofiary dla Ojczyzny, ofiary moralnej i fizycznej, ofiary zdławienia w sobie wszelkiego egoizmu i wszelkiej małości, a tam gdzie się zaczynała jego ofiara, nie kończył się jego patriotyzm.

Tak, tak — tylko o który tu motor chodzi i dlaczego to zdławienie egoizmu tak drogo Polskę kosztuje?

WIECZERZA WIGILIJNA NA SĄDNY DZIEŃ

Dziennik Polski zamieścił niedawno opis uroczystości religijnej dla żołnierzy żydowskiego wyznania naszej słynnej już dziś 1. Dywizji Pancernej. Uroczystość odbyła się w Gandawie, w Belgii, w przeddzień żydowskiego święta *Sądnego Dnia,* w bardzo pięknych ramach i musiała być dużym przeżyciem dla uczestników — żołnierzy z frontu. Dlaczego jednak pod fotografią z uroczystości *Dziennik Polski* zamieścił napis "wieczerza wigilijna"? Czy wśród licznego zespołu *Dziennika* nie ma jakiego *rabina,* któryby wytłumaczył z religijnego punktu widzenia, że to nie uchodzi?

A może by wystarczył jakiś zwyczajny taktowny dziennikarz, któryby potrafił odróżnić chrześcijańską Wieczerzę Wigilijną od żydowskiego Sądnego Dnia?

Hornet

DO P.T. CZYTELNIKÓW

Wydawnictwo "*Myśli Polskiej*" stawia do dyspozycji swoich Czytelników, którzy jako ranni, chorzy lub rekonwalescenci przebywają w szpitalach i domach odpoczynku, pewną ilość zestawów "*Myśli*" (niestety, niekompletnych, choć braki są nieznaczne) po zniżonej cenie lub bezpłatnie — zależnie od możliwości finansowych poszczególnych osób. "*Myśl Polska*" zaczęła wychodzić w Londynie w marcu 1941 i przegląd jej da Czytelnikom zainteresowanym głębiej w zagadnieniach polskich obecnej wojny, a nie mogącym ich dotąd należycie studiować z powodu służby wojennej, niewątpliwie wiele materiału. Zgłoszenia listowne prosimy kierować pod adresem "*Myśli*" podanym na innym miejscu niniejszego wydania.

Równocześnie Administracja "*Myśli*" zwraca się z prośbą do tych naszych Czytelników, którzy mają zbędne egzemplarze "*Myśli*" Nr. 39 z 1-15 stycznia 1943, Nr. 40 z 15-31 stycznia 1943 i Nr. 41 z 1-15 lutego 1943, o przysyłanie ich do "*Myśli*" za zwrotem ceny i opłaty pocztowej w gotówce lub przez przekazanie na dalszą prenumeratę. Akcja ta ma duże znaczenie, gdyż ustawicznie otrzymujemy od różnych czytelni i bibliotek polskich i cudzoziemskich zamówienia na komplety naszego pisma.

Wydawnictwo "*Myśli Polskiej*".

TREŚĆ Nr. 80 "Myśli Polskiej":

MYŚL POLSKA

Wychodzi dwa razy w miesiącu.
Redakcja i Administracja:
24, Wellington Road, St. John's Wood, London, N.W.8. Tel. PRImrose 4350.
Prenumerata kwartalnie (6 numerów): 6/- lub $2.
Prenumerata półrocznie (12 numerów): 12/- lub $4.

Printed for "Myśl Polska" by F. Mildner & Sons, Herbal Hill, Clerkenwell Road, London, E.C.1, November 1, 1944.